

**Anna
Gniewkowska**



Wielkie złudzenia

WIELKIE ŻŁUDZENIA

Anna Gniewkowska



WIELKIE ZŁUDZIENIA

Anna Gniewkowska

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego
Białystok 2008

© Copyright by Anna Gniewkowska 2008

Zrealizowano przy pomocy Prezydenta Miasta Białegostoku



Projekt okładki: Tomasz Szurczak

Redaktor techniczny: Ewa Frymus-Dąbrowska

821.162.1-4

ISBN 978-83-60368-24-4

WYDAWNICTWO
PRYMAT

Mariusz Śliwowski

Białystok, ul. Zwycięstwa 26C lok. 7

tel. (085) 869 14 87, 0602 766 304

www.prymat.stnet.pl, e-mail: prymat@stnet.pl

KP Białystok-EO-2008/5395

W drugiej połowie lat 90-tych, grupka przyjaciół, ogarniętych w równej mierze miłością do lat 20-tych i 30-tych, jak również do własnego miasta, postanowiła w gościnnych progach Muzeum Historycznego wskrzesić, przywołać i zanurzyć się na chwilę w klimacie tamtej, pełnej czaru i niepospolitych ludzi epoki. Czy im się to udało? Faktem niezbitym jest, że oni sami bawili się przy tym znakomicie, a publiczność? Skoro z wieczoru na wieczór przybywało jej coraz więcej...

Anna Gniewkowska

Dziękuję
Panu Wojciechowi Bokłago de Bof
za uświetnienie kilkunastu wieczorów
z cyklu „Lata 20-te, lata 30-te...”
znakomitymi pokazami,
które inspirowane były modą międzywojenną.

Dziękuję również
za udostępnienie zdjęć z kolekcji prywatnej,
a które, mam nadzieję wprowadzą Czytelnika
w klimat tamtej epoki...

Dziękuję
Panu Markowi Jankowskiemu
za udostępnienie zdjęcia
pięknej białostoczanki
zamieszczone na okładce.

ZIEMIAŃSKA I OKOLICE...

Często mam taki sen, który nawraca – słyszę gwar, czuję zapach kawy i wanilii, szukam drzwi w ciemnym korytarzu... i nagle jest, to na pewno tam – tubalny głos Franka Fiszera góruje nad wszystkimi... to na pewno tam. Otwieram... i jestem. Ziemiańska! Stoliki rozstawione blisko siebie, tak że z trudem można przecisnąć się przez siedzący tłum ludzi, zapach ciastek, wanilii i niepowtarzalny aromat kawy. Specjalnością tutejszą jest krajany placek ze śliwkami i pączki. Oczywiście to wszystko można mieć gdzie indziej, bo tutaj przychodziło się przede wszystkim dla ludzi. Izabella Czajka-Stachowicz pisała w swoich wspomnieniach, że tylu pięknych i eleganckich kobiet dawno nie widziała, a przecież dopiero co wróciła z Paryża, gdzie spędziła 6 lat, zdążyła przeniknąć „duchem i klimatem Montparnasse, francuskim malarstwem, literaturą i gorącym rytmem życia.”

Ziemiańska była w owych czasach punktem zbornym naszych literatów, muzyków i całego artystycznego i intelektualnego świata stolicy. Któż tam bywał? A więc mężczyźni „intelektualiści, romantycy, skomplikowani i cierpiący, cynicy, ascetyczni i rozwiązli” trzeba przyznać szeroka gama – jak to mówią – do koloru do wyboru. Bo i było w czym wybierać! Przy wejściu – na lewo nie kto inny, ale sam pułkownik Wieniawa-Długoszowski – fantazja, polot i wdzięk, kształtna głowa o wspaniałym orlim profilu nosa. Mężczyzna, w którym kochała się cała nie tylko żeńska część Warszawy. Dalej – stolik prawników – tam króluje mecenas Berenson, słynny ze swoich mów obrończych w procesach komunistów.

Na magicznym, słynnym półpięterku znajdowała się wnęka, gdzie spotykali się Skamandryci. Jedni opisują, że stał tam jeden stolik i krzesła, inni, że była kanapka i wygodne fotele... nie ma to większego znaczenia. Jak wszędzie, liczą się tylko ludzie. Wejścia do owego sanktuarium pilnował jak Cerber – złośliwy Lechoń.

Zatrzymajmy się na chwilę. Jakie były te kobiety lat międzywojennych? Tego naprawdę nikt się nie dowie. Możemy tylko snuć domysły, przekopywać książki i roić własne fantazje... Myślę, że były na pewno i piękne, i próżne, i eleganckie. Tak jak wszystkie kobiety. Może trochę inaczej – z pewną nutą barwności i szaleństwa, której brakuje naszym czasom... pewnie po części dlatego, iż epoka w której żyły była specyficzna. Po pierwsze – niezwykła radość po uzyskaniu wolności, gwałtowny rozwój w różnych kierunkach literatury i sztuki, nowe trendy w modzie... Można powiedzieć, że wszyscy interesowali się wszystkim. Wracając do kobiet – jak były uroczo próżne można z przyjemnością na dowód przytoczyć wiersz Brzechwy:

„Znam o Sienkiewiczu zdanie
że z tragiczną w oku łezką
w chwilach wolnych od pisania
latał wciąż za Modrzejewską.

Po co kłamać nadaremno
Wszak Sienkiewicz zawsze tylko
romansował albo ze mną – albo z moją siostrą Lilką
...Pewien Rudolf, arcyksiążę,
w łeb se palnął – to dopiero!

A dziś „Przekrój” fakt ten wiąże
Z panną... jak jej tam Vetserą.
Jasne jest, że „Przekrój” kłamie,
W co nie wątpię ani chwilki

Bo się Rudolf strzelał dla mnie
I dla mojej siostry Lilki.

Ciągle jeszcze plotą słynie
w Rosji, oraz za granicą
o jakimś Rasputinie
co on niby coś... z carycą.

Ktoś tu prawdę sponiewierał
Bo Rasputin w sposób ostry
Tylko do mnie się dobierał
I do Lilki, mojej siostry.

Książę Józef Poniatowski
Na honorze czuły pono
O ojczyznę pełen troski
W rzekę skoczył i utonął.

Dla ojczyzny – niech tak będzie,
Dla honoru – swoją drogą
Ale jednak w pierwszym rzędzie
Domyślcie się, dla kogo...”

Rzecz była oczywiście o Magdalenie Samozwaniec, z domu Kossak, oraz o jej siostrze Lilce Bzowskiej-Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej z domu Kossak. A skoro już przy nich jesteśmy, przenieśmy się na chwilę do Krakowa, gdzie dorastały owe dwie indywidualności, które później bywały w Ziemiańskiej. Lilka i Madzia – dwie rodzinne czarownice – jedna poetka, druga znana satyryczka. Obie atrakcyjne. Uwielbiały być dobrze ubrane, jak każda kobieta. Lilka zakochana była w pięknych materiałach, które pieściły jej wzrok swoją miękkością, a które po zakupie i powrocie do domu uwielbiała na siebie „zarzucać i przytulać przed lustrem”. Przypominała przy tym dziewczynkę z wiersza Ja-

chowicza: „która książki kupowała, lecz nie po to by je czytała, ot, tak tylko, by je miała”.

Nie ona jedna! Też skupowałam materiały w różnych kolorach, w dobrym gatunku, które później zalegały szafy, nigdy nie uszyte, nie użyte, żyjące własnym życiem w nadmiernie ciasnej szafie, wykwitające po jakimś czasie w formie buntu – gniazdem moli – śmiertelną, ostateczną zemstą...

Lilka, poetka, której w rodzinnym mieście nie bardzo chciano wydawać, była o wiele bardziej dumna ze swojej urody, niż ze swoich wierszy. Uwielbiała swoje „Liliowe dłonie” i rasowe nogi, które pokazywała zresztą przy każdej okazji. Reszta figury (budząca pewne kontrowersje) była szczelnie zasłonięta pelerynkami, szalami, kryła braki i grała najmniejszą rolę. W dzisiejszych czasach, kiedy pokazuje się całość ciała, uroda Lilki nie została by w ogóle zauważona. Defekt figury, ukrywany wówczas pod płaszczem popielatych loków skomentowano by jednoznacznie...

Zresztą już wtedy tzw. „przyjaciółki” objaśniały dokładnie wielbicielkom Lilki, że poetka jest ułomna i ma jedną nogę krótszą. O złośliwości kobieca! Prawdą przecież jest, że miała obie nogi równej długości i tak piękne, jak Marlena Dietrich! Ale Lilka miała też wokół siebie ludzi życzliwych.

Dwa słowa o MM, czyli Marii Morskiej, a właściwie Niucie Knastrowej, żonie pewnego docenta matematyki, który kochał ją miłością „tak wielką, że nie żądał od niej nawet wierności małżeńskiej”. Piszę o czasach, kiedy była Muzą Słonimskiego i znajomą Ireny Krzywickiej. Opowiada Irena: „Maria Morska miała rzadki u kobiet zwyczaj niemówienia o byle czym. Albo miała coś istotnego do powiedzenia, albo umiała pięknie milczeć, patrząc rozmówcy w oczy morskim spojrzeniem.” Zaiste piękna opinia i co dziwniejsze – kobiety o innej kobiecie. Obie panie spotkały się kiedyś przypadkiem na klatce schodowej prowadzącej do czyjegoś mieszkania... „Maria sfrunęła do mnie niejako z góry i zapytała czy

czytałam ostatni wiersz Lilki.” Chodziło oczywiście o Pawlikowską-Jasnorzewską. I zaczęła bez zbędnych słów recytować:

„Rudą nocą, pod mostem, w Sekwanie
płynie kotka, przemokła i sina
Pod następnym mostem niespodzianie
Przyłączyła się do niej dziewczyna”

Irena Krzywicka wspomina „jak chwyciła ją za gardło przejmująca piękność tego wiersza i jego przeraźliwa treść. Obie kobiety stały na schodach milcząc.” Wreszcie Morska powiedziała: „To największa poetka polska i jeden z największych poetów, chociaż rodzaj męski zupełnie do niej nie pasuje! Chcesz ją poznać? Przyprawdzą ci Lilkę, będzie za kilka dni w Warszawie.” Tak też się stało. I chociaż pani Krzywicka rozpyływała się nad nieodpartym wdziękiem Lilki, to jednak nie omieszkła zaznaczyć, że „była osobliwym zjawiskiem, drobna i ułomna, przypuszczam, że w dzieciństwie musiała przejść chorobę Hainego-Medina, ale ponadto pełna uroku stokroć ważniejszego od urody... tak poza tym, była poetką zachwyconą. Zupełnie inaczej wspomina Lilkę rodzina Marii Iwaszkiewiczowej. Jej matka, kobieta konserwatywna, bardziej lubiła „szaloną i niepoprawną” Madzię, niż jej siostrę „wiecznie niezadowoloną i rozhisteryzowaną.” Pawlikowska – jak pisze Iwaszkiewiczowa – lubiła się wywyższać, uważała się za kogoś lepszego. Co bardzo raziło.”

Mimo tych plotek co do jej figury oraz niezbitych faktów – w Lilce kochało się wielu panów i niejedna dobrze wyposażona przez naturę panna mogła jej tego pozazdrościć. Zresztą historia ukazuje liczne przypadki, kiedy panna nie miała ani urody, ani innych walorów, a liczni tracili dla niej głowę, chociażby nie szukając daleko niejaka Dagny Przybylskiej. Oprócz Mistrza, a przed nim innych, sam Boy stracił dla niej głowę, chociaż Irena Krzywicka ze zdziwieniem

konstatuje, że „biustu przecież wcale nie miała.” Widać nie o biust tylko, ani o proste plecy chodziło. Zróbmy niewielką dygresję w stronę mody...

Dyktatorów mody nigdy nie przerażała waga „piórkowa” 49 kg i obwód w talii 49 cm, oraz zupełny brak piersi. Przecież jeszcze w okresie wojny secesyjnej o elegancji kobiety światowej wyrokowano po obwodzie jej talii. Scarlett O’Hara znosiła okrutne cierpienia, a nie pozwoliła sobie poluzować gorsetu. Na szczęście te czasy minęły. Christian Dior, który lansował „new look” nie zdołał wskrzesić tego zamiłowania do męczeństwa. „Osa” Rochasa, której sukces był krótkotrwały, nie była podobna do pancerza z fiszbinami z XIX wieku. Niemniej jednak trzeba przyznać, że moda była tworzona z myślą o kobietach, a raczej o figurach młodych i wysmukłych.

Poczynając od lat 40-tych XIX wieku (kiedy to powstały pierwsze kobiece żurnale) w tamtych czasach nie było jeszcze dyktatorów mody. Dopiero w 1860 r. powstał Dom Mody niejakiego Charlesa Fredericka Wortha. Wprowadził on jako pierwszy żywe modelki, między innymi własną żonę. Trzeba przyznać, że oprócz żony miał wyjątkowo utalentowaną rodzinę – syn Gaston – oprócz urody po mamie, posiadał też w genach niezwykle poczucie smaku i wiedział jak użyć jedwabów Lyonsa o dużych wzorach, z precyzją, która podkreślała szerokie linie kroju. W 1900 Dom Wortha miał już filie w wszystkich większych stolicach europejskich i ubierał większość znamienitych osób. Idąc dalej tym tropem, nie sposób nie wspomnieć o panu Doucet, którego dziadek sporo wcześniej otworzył sklep z odzieżą dla panów przy rue la Puix, a ten dla odmiany zajął się damskimi sukienkami i odniósł błyskawiczny sukces, tworząc kreacje zarówno sceniczne jak i prywatne dla największych aktorek. Jego styl był bogaty, elegancki i... ostrożny, a te kobiety, które chciały być wyzywające i rzucać się w oczy ubierały się u Paula Poireta – pierwszego świadomego artysty wśród

krawców. Znany był z ciętego języka. Mówiono o nim „bon vivant i artysta”... Kres jego karierze położyli bankierzy, ale on przeżył swoją upadłość finansową o prawie 20 lat, zarabiając na życie jako malarz, czasem scenograf teatralny i filmowy, obnosząc się ze swoim ubóstwem tak, jak przedtem bogactwem...

Trzeba przyznać, że Poiret tworzył swoisty styl – podchwytując tendencje epoki – emancypację kobiet i zainteresowanie sztuką współczesną. Głęboko inspirował się baletem Diagilewa. Zabraniał swoim klientkom wkładać gorsety i wysokie kołnierzyki. Wyczyścił linię kobiecej sylwetki rekompensując to sobie szaleństwem piór, zakładek i falbanek. Do jego pierwszych klientek należała Sara Bernhard, Isadora Duncan i gwiazda Baletów Rosyjskich Ida Rubinstein. Sam Paul – nieładny, puciołowaty o ciemnej cerze, paradował po Paryżu ubrany w „hinduską, myśliwską kurtkę łowców lwów.”

Coco Chanel już wtedy właścicielka butik, była by przegrała z nim z kretesem, gdyby nie pewne mistrzowskie posunięcie – sezonowe, letnie ubrania... A trzeba przyznać, że wakacyjny nastrój Beauville skłaniał do swobody i pewnej nonszalancji. Stworzyła modele luźne, niezobowiązujące, nie wymagające gorsetu, swetry z golfem (jakie nosili angielscy żeglarze), materiały – dzianiny i flanele – które nie miały nic wspólnego z elegancją – jednak hołdowały wygodzie, swobodzie i zdrowemu rozsądkowi. Wszystko to sprawiało, że wygląd kobiety był jednak elegancki w pełnym tego słowa znaczeniu.

Niby teraz wydaje się to wszystko oczywiste, ale w tamtych czasach nie gwarantowało sukcesu. A jednak... Mimo, że flanela pasowała raczej do robotników niż modnych kobiet, udało się. Dżersej, uważany wcześniej za zbyt wiotki i nieatrakcyjny stał się modny dzięki prostym szarogranatowym sukienkom. Co więcej ta moda stała się stylem ponad czasowym.

Na dowód tego poradniku mody napisanym przez Francuzkę Jacqueline Pasquier pół wieku później czytamy: „Co nosić. Rano – kostium, lub suknia z dżerseju w kolorze spokojnym szarym lub granatowym, pulower lub bluzka flanelowa, beret, lub czapka, bez biżuterii. Obuwie płaskie, lub na słupku.”

Tą uproszczoną formę i funkcjonalizm ubioru podchwyciły kobiety w całej Europie, Polki oczywiście też. Ton modzie nadawały oczywiście nasze gwiazdy-aktorki teatralne, filmowe, kabaretowe... Każde ich pojawienie się przyciągało tłumy i to nie tylko w teatrze, ale i na ulicy.

Ale one przywoziły sobie kreacje z zagranicy. Cała reszta ubierała się u lokalnych krawców, ale przecież taki Herse (róg Kredytowej i Marszałkowskiej) niczym nie odbiegał od standardów paryskich. Modelką u niego była m.in. Stefania Grodzieńska. Zresztą Herse wybierał zwykle na modelki tancerki – te wiedziały przynajmniej jak się poruszać!

Ale wracajmy do Ziemiańskiej... do kobiet, które tam bywały. Piękne, eleganckie, niepospolite. Albo same były znanymi osobami, albo też były żonami znanych osób, przyjaciółkami, muzami...

Bywalcy Ziemiańskiej zerkali z zazdrością na ów Olimp, osławione półpiętro Skamandrytów – a było na co popatrzeć: często przesiadywały tam dwa kolorowe koliberki – Lilka Pawlikowska-Jasnorzewska i Madzia, jej siostra, przy bufecie królowali mężczyźni – ten w granatowym berecie – to Konstanty Ildefons Gałczyński i Zbyszek Uniłowski, dalej blondyn o „delikatnych rysach” Witold Gombrowicz – sami znajomi. Ich dalsze losy, to tragiczna opowieść, ale na razie zdrowi, weseli, prześcigają się w żartach, cieszymy się ich obecnością... Ponad wszystkim góruje tubalny głos Franka Fiszera...

Lilka Pawlikowska-Jasnorzewska uwodzi (na razie tylko oczami) przystojnego Tuwima. Ale on nieprzytomnie zakochany w swojej Stefci – nie zwraca na nią uwagi. Niby ładna

ta jego żona – blondynka o dużych lalkowatych oczach, ale jakaś taka „zanadto dociągnięta, dosznurowana, cedząca słówka” wydaje się, że nieustanna adoracja Julka ją nudzi... Zupełnie inne są Iwaszkiewiczowa i Konarska (późniejsza Słonimska), Wierzyńska... też piękne, ale bardziej dostępne, Bronisława Ostrowska i Hłakiewiczówna uchodzą tylko za „przystojne”, a Nałkowska za majestatyczną.

Muzy... to osobne zagadnienie... Muzy nie zawsze zostały żonami, czasem były żonami cudzymi, a więc owocem zakazanym, który tym bardziej smakował. Nie zawsze były piękne, ani nawet ładne w potocznym tego słowa znaczeniu, ale zawsze miały owo „coś”. Chociażby wspomniana wcześniej Dagny Przybyszewska. Pomimo zupełnego braku piersi, była natchnieniem wielu znakomitych pisarzy, malarzy i niemało namąciła w Berlinie, przesiadując w lokalu o wdzięcznej nazwie „Czarny prosiak”. Niewiele mówiła, umiała ponoć słuchać jak nikt. W końcu zostawszy żoną charmatycznego Smutnego Szatana – nie uspokoiła się – nawet po urodzeniu dwójki dzieci – nadal owo „coś” przyciągało jak magnes mężczyzn, ot chociażby Boya. Była jego wielką, tragiczną, młodzieńczą miłością! Barbara Winklowa w swojej bibliografii o nim napisała oględnie, że „można by przypuszczać, iż łączyły go z Dagny jakoby bliższe stosunki”. Och, Pani Winklowa! On zupełnie dla niej oszalał, kochał ją nieprzytomnie! Zgrywał się dla niej w karty, żeby móc kupić bukiet róż, parasolkę, czy co tam sobie Dagny zażyczyła, albo prozaicznie, po prostu pożyczyć na zapłacenie spóźnionego rachunku. Tak się wtedy kochało!...

Mało tego. Przyjął stypendium od wojska austriackiego na studia lekarskie – stypendium, z którego sam nie zużył ani grosza, a które go później straszliwie zobowiązało. A Dagny była niewdzięczna... mało tego, że kochała przy tym wszyst-

kim męża, to jeszcze wyjechała z innym (który z kolei ją kochał). Później tamten zastrzelił oboje – i ją i siebie. Niezrozumiałe... ale czy miłość jest w ogóle czymś zrozumiałym? „A przecież ona zupełnie nie miała piersi” – dziwiły się plotkarki.

Zostańmy z Boyem. Jak potoczyły się jego losy? Ustatkował się, ożenił ale cóż, los bywa przewrotny. Kiedy miał 53 lata, opinię mruka i melancholika, a sam czuł się „stary, zubożony i wypalony” zjawiała się ona – Muza, fascynacja, kobieta piękna, niebanalna, mężatka... (Irena Krzywicka) Iruszka – tak ją nazywał. Uczucie wybuchło nagle i z wzajemnością. Sytuacja była patowa. Boy twierdził, że nie zrywa się małżeństwa po 25 latach, ona nie chciała osierocić uwielbianego synka Piotrusia, ani stracić męża, nie chciała też rozbijać małżeństwa Boya, bo jego żonę lubiła i szanowała. Jej mąż Jerzy, nigdy nie pytał żony o stosunki z Boyem. Złośliwi twierdzili, że liczył na jego podeszły wiek, a może z natury nie był zazdrosny, a może wolał, że Irena zdradza go z Kimś, a nie z przysłowiowym hydraulikiem. Nie umniejszając niczego tym ostatnim... Tak czy siak sytuacja była zagmatwana i nie do pozazdroszczenia. Bo ile w końcu „obaj panowie zadomowili się w niej, biorąc to, co najlepsze – męczyłam się tylko ja” – pisze Krzywicka. Ta jej słynna węzowa linia nie była efektem żadnej diety, ale owych „dusznych męczarni”, których nie zdradzała ani przed mężem, ani przed kochankiem (aby nie zatruwać mu ostatnich chwil życia, gdyż sama uważała mężczyznę 53-letniego za starca).

Pomimo tego, że czasem płakała idąc po ulicy i nie widząc wyjścia z sytuacji była, jak pisze „przerażająco wprost szczęśliwa!” Któż pojmie skomplikowaną naturę kobiety?

Poplotkujmy jeszcze chwilę o Irenie Krzywickiej. Kochał ją Mąż, kochał Boy, podkochiwał się Uniłowski, od którego zresztą była starsza o jakieś 10 lat, nawet kiedyś w Zakopanem wyznał jej swoją miłość, a nawet oświadczył się.

„Średniego wzrostu, pulchniutki, o czerwonych usteczkach, przedwcześnie otyły” – lubiła go bardzo, ale... Przekonawszy się, że kocha bez wzajemności, upił się narozrabiał, porozbił krzesła i dał w pysk jakiemuś góralowi. Trwało to dwa dni. Dużo później, na Placu Trzech Krzyży jeszcze Ireń zapytał – „Nie chcesz mnie?” Odpowiedziała odmownie. – „To dobrze, to się ożenię, żebyś wiedziała!” I ożenił się z Lilpopówną z domu, i miał z nią syna i byli chyba szczęśliwi – do czasu jego przedwczesnej śmierci. Ale to już inna historia... Najbliższą przyjaciółką Ireny była Janka Konarska, przyszła żona Słonimskiego, bardzo utalentowana graficzka, no i piękna kobieta. Kochała się nieszczęśliwie w Karolu Stryjeńskim, który był mężem Zofii „utalentowanej półtawriatki, cieszącej się ogromną popularnością w tamtych czasach.” (Jej wielki talent objawił się jeszcze przed pierwszą wojną, wówczas jeszcze była panną Lubańską, córką krakowskiego rękawicznika). Odkrył ją – jak wspomina Magdalena Samozwaniec – Jerzy Warchałowski, esteta i wielki miłośnik sztuk pięknych. On urządził jej pierwszą wystawę i tak skutecznie wraz z Ludwikiem Pugetem robił wokół niej szum, że młodzianka Zosia stała się od razu sławna. Dziwne wrażenie musiała robić na paniach z towarzystwa – „murzyńska kręcona czupryna i wspaniałe ogniste, ciemne oczy.” Podobne robiła tysiące nietaktów i faux pas, ale wszystko wynagradzała jakimś takim „zamorowanym wdziękiem” i bezpośredniością. Od dawna „byli parą” ze Stryjeńskim, ale nikt nie przypuszczał, że się pobiorą. Swego męża kochała dziko, zachłannie i histerycznie. Janka nie miała żadnych szans. Zwłaszcza, że i Karol był wierny swojej żonie. Mógł się kobietom podobać ze swoją „suchą, indiańską twarzą”, był człowiekiem pełnym uroku i wewnętrznego ognia, poza tym zdolnym architektem, twórcą zakopiańskiej szkoły drzewnej i jednym z twórców (po starym Witkiewiczu) stylu zakopiańskiego. Powiedział Jance to, co kobietę



najbardziej boli – „nie kocha jej, a na przelotną przygodę jest za dobra, za uczciwa, za czysta.” Cóż...

Musiała być szaleńczo zakochana, skoro nie dostrzegła, że uwielbiany Karol, przy wszystkich swoich zaletach intelektualnych i męskości, jak by to ująć delikatnie... „nie bardzo się mył” – pisze Krzywicka. A Janka była taka schludna! Niepojęte są ścieżki miłości, niepojęte zakręty losu! Biedna, śliczna Janka, pozostając sama z nieodwzajemnioną miłością, pielęgnuje w chorobie swoją koleżankę, „średnią zresztą aktorkę” – jak pisze Krzywicka – pierwszą żonę Wierzyńskiego”. No i stało się!! Wierzyński zakochał się w Jance. Trzeba przyznać, że nie był jej obojętny; atrakcyjny, żeby nie powiedzieć piękny, utalentowany poeta... ale Janka nie zamierzała rozbijać małżeństwa. Była przecież „dobra i czysta” jak powiedział jej Karol. Postanowiła więc, kiedy sprawa stała się gorąca – wyjść za męża. Jej wybór padł na Antoniego Słonimskiego. Trzeba szczerze powiedzieć, że Wierzyński nie zachował się w tej sprawie jak dżentelmen – cierpiał, to oczywiste – ale nie potrafił zapanować nad sobą. „Latał po wszystkich znajomych, opowiadając, że Janka zrobiła mu świństwo (!) i prosząc, żeby przestano ją przyjmować”... Żenujące, prawda?

Małżeństwo Słonimskich jakoś się w końcu dotarło, chociaż Antoni na początku nie mógł się w nim znaleźć, przyzwyczajony do kawalerskiego stylu życia. A to za długo siedział w łazience, a to uwielbiał grać w brydża długo w noc. Janka czuła się osamotniona. Z czasem wszystko się ułożyło. Zwłaszcza pobyt na obcej ziemi w czasie wojny bardzo ich zbliżył...

Inna niezmiernie ciekawa historia dotyczy Jarosława Iwaszkiewicza. Jak reszta towarzystwa, bywał na „górcie” w Ziemiańskiej, jeszcze piękniejszy niż Wierzyński, o dziwnej,

jakby tatarskiej urodzie, ogromnego wzrostu i powierzchowności, której nie sposób zapomnieć. „Nie ukrywał wcale swoich homoseksualnych skłonności” – pisze Krzywicka. Toteż wszystkich zadziwiła wieść, że żeni się z jedną z najbogatszych panien w Polsce, w dodatku piękną – Anną Lilpop – urodzoną w 1897 roku, córką Stanisława Lilpopa. Jej matka Jadwiga ze Stankiewiczów opuściła męża dla pianisty Józefa Śliwińskiego, gdy jej córka miała dwa lata. Wychowaniem małej Hani zajęła się ciotka Aniela z Lilpopów Plawitzowa. Nad jej rozwojem umysłowym czuwał mąż Anieli – Henryk. To on podsuwał jej stosowne lektury i ilustracje z dziedziny malarstwa. Pomimo tego, że Iwaszkiewicz ożenił się z córką bogatego przemysłowca, różnie z tym bogactwem bywało. Podobno pani Plawitzowa na wyprawę sprzedała jednego z lilpopowskich Simmlerów. Maria Iwaszkiewiczowa pisze w swoich wspomnieniach: „Matka nigdy nie chodziła do żadnej szkoły. Dzisiaj trudno jest mi odnaleźć powody do tak dziwnego wychowania, niemniej tak było. Była zupełnym samoukiem. Podczas pierwszej wojny światowej dziadek Lilpop, Hania i rodzina wyjechali do Kijowa i Moskwy. Tam Hania chodziła na wykłady Limanowskiego, wiele czytała, słuchała muzyki, której w najdoskonalszych wykonaniach nie brakowało. Tam przeszła przełom duchowy o jakim często wspomina w dzienniku. Lilpopowie wrócili do Warszawy w 1918 r. Hania interesuje się wszystkim, co dzieje się w tym czasie w Polsce, szczególnie nową sztuką. Była nawet wykonawczynią nieznaną dotąd „Ekstazy” Skriabina na publicznym koncercie w Sali Grossmana. „Kiedyś poprosiła swego dobrego znajomego – pianistę, Romana Jasińskiego – żeby przedstawił jej młodego poetę, o którym słyszała – Jarosława Iwaszkiewicza. Sama w owym czasie była zaręczona (potajemnie) z Krzysztofem Radziwiłłem. Jak mówią nastąpił coup de fourde”... (wg J. Krzywickiej).

Po ślubie z Hanią, która dla Jarosława rzuciła owego Radziwiłła, oboje żyli w skromnych warunkach. Stary Lilpop posiadający niezmierny majątek nie chciał im dać pieniędzy wściekając się o to, że zamieniła Radziwiłła na „głodomora i pederastę”, a w dodatku poetę!

Te właściwości dyskredytowały Jarosława całkowicie w oczach rodziny żony. Wspomina Irena Krzywicka: „Stary Lilpop mieszkał na Stawisku w wyjątkowo brzydkim zbudowanym przez siebie dworze, wśród sporego folwarku. Przylegały do niego najpiękniejsze na świecie lasy, które rozparcelował i dzięki temu zdobyłam kawałek ziemi i postawiłam swój dom pośród drzew.” Tak się stało, że któregoś dnia znaleziono starego Lilpopa z przestrzeloną głową – odebrał sobie życie – nikt nie dowiedział się dlaczego. Z dnia na dzień Hania i Jarosław obudzili się milionerami!

Ponure Stawisko ożyło (Iwaszkiewicz miał szeroki gest), ale zawsze snuły się po nim jakieś zmyły z przeszłości – babki, ciotki. Zawsze na czarno, niby milczące, ale w gruncie rzeczy panujące nad całym domostwem. Na szczęście Jarosław dostał posadę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i został mianowany ambasadorem, czy też chargé d'affaires w Danii. Krążyły później plotki o przepychu, w jakim żył i o balach, jakie wydawał...

To wszystko skończyło się nagle. Hania poroniła i jak piszą, dostała „pomieszania zmysłów”. Zebrana natychmiast rada rodzinna składająca się głównie z owych czarno ubranych ciotek snujących się po Stawisku uznała, że należy Hanię ubezwłasnowolnić, oraz odebrać prawa rodzicielskie Jarosławowi, który przecież uwielbiał swoje córki. A także powierzyć cały zarząd majątku, klucze do sejfu, jednym słowem wszystko, jakiemuś „nicponiowi”. Jarosław został odcięty od „pieniędzy”, kiedy z chorą żoną, dziećmi i całą „świątą” powrócił do Polski. Hanię umieszczono w Tworckach, nie pytając go o zdanie, a on został w Stawiskach bez grosza przy duszy, bez prawa zabierania głosu w sprawie

wychowania córek. Czasem pożyczał od znajomych pieniądze na znaczek pocztowy... Wydawało się, że jest w sytuacji bez wyjścia. Los jednak nie wytrzymał i wtrącił swoje trzy grosze. Owego „nicponia”, który miał zarządzać majątkiem znaleziono z przestrzeloną skronią na schodach do „pałacu” w Stawisku. Sejfy były puste, folwark w długach. Rada rodzinna dała chwilowo Jarosławowi spokój, a on przecież poeta, chwycił za pióro i napisał „Lato w Nohant” – czym zarobił sporo i spłacił najważniejsze długi!

Irena Krzywicka spotkała go w tamtych latach w kolejce EKD jadącej do Warszawy. „Wszedł do wagonu wielki, piękny, wspaniały, wszystkie oczy, jak zazwyczaj obróciły się ku niemu. Siadł przy mnie i rozmawiał wesoło. Sądziłam, że jedzie do Warszawy, ale oto nadeszła stacja Tworki. Jarosław wstał dość gwałtownie i wyszedł z wagonu. Widziałam przez okno, jak w bramie szpitala złamał się niejako wpół, jak zgięty niemal, z opuszczonymi ramionami wszedł do szpitalnego parku. Zmiana która w nim zaszła, była wstrząsająca...” Jej znajomy był wówczas lekarzem w Tworkach. Krzywicka pytała kiedyś o stan Hani – To schizofrenia – powiedział – medycyna nie ma na to rady.

Mimo tego ponurego wyroku, Jarosław odebrał żonę ze szpitala. Spędzał z nią długie godziny na rozmowach, dawał drobne prace do wykonania – jak sporządzanie notatek, porządkowanie książek. Jej stan zaczął się poprawiać.

Był to niewątpliwie heroiczny okres w życiu Jarosława. „Tylko ten, kto go znał mógł ocenić jego straszliwy wysiłek, nieustającą dobroć i cierpliwość w staraniu wyrwania żony ze szponów choroby.” Skłonności erotyczne to była zupełnie inna karta jego życiorysu. Po Stawisku zawsze snuli się jacyś szoferzy, sekretarze, ale to w niczym nie mąciło jego życia rodzinnego. Był zawsze idealnym mężem i ojcem.

Każdy człowiek zawiera w sobie wiele sprzeczności. Nie ma ludzi całkowicie dobrych, lub absolutnie złych. Trzeba każdego oglądać z różnych stron, żeby objąć całość. Przed-

wojenny antysemita Iwaszkiewicz pomaga Żydom w czasie wojny... on, który „stale chorągiew w Podkowie na procesjach nosił” zostaje potem laureatem nagrody leninowskiej. Można mnożyć przykłady. Każdy człowiek jest kłębowiskiem sprzeczności. A już Jarosław w szczególności taki był. „Od wielkiej dobroci do antypatyczności” – pisze Krzywicka – „pewnego koniunkturalizmu, jak na to wskazuje rola, którą wobec władz odgrywał po wojnie... Ale nie mogę mu zapomnieć, że był dobry, że miał serce...”

Z Hanią spędził 57 lat! Pisze Maria Iwaszkiewicz w swoich wspomnieniach: „W szafie jego ostatniego pokoju, z którego wywieziono Go do lecznicy, znalazłam pudełeczko w kształcie serca, a w nim dwie ozdobne, niebieskie tasiemki od Jej wspaniałej wieczorowej sukni i poziomkowego koloru sweterek. Porównując zdjęcia odkryłam, że był to ten sam sweterek, który miała na sobie Anna, kiedy wyznali sobie miłość w ogrodzie Agrykola, na wiosnę 1922 r. „Czym ja bym był bez Hani?” – zapisał Jarosław po jej śmierci. Trudno o piękniejsze westchnienie...

Wróćmy do Ziemiańskiej. Za plecami Boya coś się poruszyło – to Bolek Leśmian – wielki poeta. Przyjechał rannym pociągiem z Zamościa i tak go w przytulnym kąciuku „rozebrało”, że zasnął.

Ale nie o nim chcę wspominać, tylko o Zofii z Chylińskich Leśmianowej. Nigdy nie bywała „na górce”. A przecież niczego jej nie brakowało – ani urody, ani wykształcenia, ani elegancji. Była córką dobrze sytuowanego lekarza z Łomży (!), osobą niezależną i zdecydowaną. Przekonała bez trudu rodziców, że rozwijać talent malarski można tylko w Paryżu. Wyjechała więc za ich zgodą do „tej stolicy sztuki... i rozpusty” – jak wówczas mawiano. Tam właśnie poznaje Leśmiana, dzięki Celinie Sunderland (kuzynce i wieloletniej

kochance poety). Już samo to powinno ją zniechęcić do Bolesława. Zresztą nie tylko to, poeta był człowiekiem niewątpliwie trudnym jako partner życiowy, o czym niestety miała się przekonać później. Był – jak wielu twórców – egocentrykiem, mężczyzną o bujnym temperamencie na przekór warunkom fizycznym (155 cm wzrostu). Miał liczne (uwieńczone sukcesem) podboje miłosne. Kiedy Zofia go poznała – żył z dnia na dzień z nieregularnych honorariów, licznych pożyczek i datków od krewnych. Znaczną sumę pieniędzy potrafił wydać w ciągu tygodnia, a jak donoszą źródła, nie miał w zwyczaju prać swoich rzeczy osobistych – kupował nowe! Należy dodać, że wypalał około stu papierosów dziennie (zgroza!) i nie gardził hazardem. Dziwić zatem mogło, że Zosia – przedstawiona jako osoba pełna zalet – urodziwa, wrażliwa na piękno, utalentowana malarka, którą ponadto interesował teatr i taniec, do tego śmiała i nowoczesna – jak na ówczesne czasy (jeździ konno, uprawia narciarstwo, jest cierpliwa, wyrozumiała, pogodna itd.) – wybrała Bolka! Nie ma odpowiedzi na to pytanie. Dlaczego przez 32 lata dzieliła trudne i pełne zawirowań życie z tym człowiekiem? Zawsze pomijana w gruncie rzeczy i zapomniana? Malutki Leśmian zaszczyca w międzyczasie liczne panie miłosnymi listami – niezwykle na owe czasy śmiałymi w środkach wyrazu. Kolejne związki pewnie inspirują go twórczo. A przecież ma u boku piękną, utalentowaną i zakochaną żonę... Los bywa zawiły w swoich wyborach. Zatem nie budźmy go, niech przesypia podróż z Zamościa na fotelu, za plecami Boya...

Wróćmy na chwilę do tematu Muz. Muzy mają to „coś”. Nie da się tego opisać. Nie potrafił tego zrobić Stanisław Witkiewicz. Irena Solska posiadała cechy brzydoty – wysoka, chuda z długim nosem ale nieładna tą brzydotą, która fascynuje i przyciąga. Przyciągnęła nie byle kogo, bo w końcu Witkacego, który miał gust wybredny i zwyczajnie piękne kobiety go nie interesowały. Musiały być albo „diabło demo-

niczne”, albo też „metafizycznie-zmysłowo-intelektualne”. Ten to miał wymagania! Ponadto Irena miała chrypliwy głos, w dzisiejszych czasach było by to niewątpliwą zaletą, dawniej przykrą wadą. Witkacy nie poprzestawał na jednej Muzie. Solska – to były wrażenia metafizyczne i zmysłowe, a ten trzeci człon – intelekt – posiadała na swoje nieszczęście Zofia Żeleńska – żona Boya. Znosiła ona cierpliwie, latami, awanse niezmiernie skomplikowanego amanta. Zresztą oprócz samej Zofii zwanej przez przyjaciół Fusią, Witkacy, pewnie dla równowagi, uwielbiał również jej męża. Wymalował niesłychana ilość portretów Boya – bez użycia alkoholu, lub pod jego wpływem, co skrupulatnie zaznaczał u dołu obrazu.

Swoją przyszłą żonę Ninę Unrug poznał w Zakopanem. „Wyglądała jak żywcem wyjęta z jego dramatów – rudowłosa i wściekle wprost ponętna.” Ale trzeba pamiętać, że taki człowiek jak Witkacy nie mógł być tym, co po mieszczańsku nazywa się „dobrym mężem” nie był nawet dobrym narzeczonym – jego pierwsza wybranka popełniła samobójstwo skacząc ze skalnego występu w przepaść, udręczona nadmiarem jego „metafizycznego pępka”...

Nina, z natury dość chłodna w okazywaniu uczuć, była z gatunku „leniwych, białych hurys”, a swego niezwykłego męża traktowała nieco z góry. To ją pewnie uchroniło przed szaleństwem.

Na kilka lat przed wojną ich małżeństwo zaczęło się rozluźniać. Ona zamieszkała w Warszawie, a Staś pozostał w Zakopanem, miewał swoje przyjaciółki, a ona swoich adoratorów, do końca jednak pozostali dobrymi przyjaciółmi. Nina, jak każda żona była zazdrosna o flirty i miłości męża, który ustawicznie poszukiwał owych „metafizycznych, piekielnie zmysłowych wstrząsów”...

Muzą i długoletnią przyjaciółką „najzłośliwszego pióra w Polsce”, Antoniego Słonimskiego była wspomniana już wcześniej Maria Morska – znakomita interpretatorka wierszy Lilki Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej – ładna szatyna o morskim spojrzeniu. Antoni – wysoki i muskularny, świetny tenisista, ale „brzydki potężnie” miał (jak się można spodziewać po brzydalu) ogromne powodzenie u kobiet od aktorek poczynając, a na paniach z arystokracji kończąc. „Czas – tak niekorzystny dla kobiet, jest wyrozumiały dla mężczyzn” – konkluduje Irena Krzywicka – pewnie dlatego Antoni na starość stał się nieomal piękny. Z dawnej, nieco nalanej twarzy wynurzyła się maska koścista i szlachetna. Można powiedzieć, że „dusza wyszła mu na twarz”...

Już czas, można powiedzieć najwyższy czas, żeby wspomnieć o jeszcze jednej osobie, która bywała w Ziemiańskiej. Bywała – to za mało powiedziane, ta osoba prawie tam zamieszkiwała, a jej tubalny głos unosił się nad stolikami, żeby wreszcie zawisnąć u sufitu... To oczywiście mój ukochany Franc Fiszer. Zresztą nie tylko mój, ale o tym za chwilę...

Zróbmy małą dygresję o modzie. Co się wtedy nosiło? W czym wypadało wyjść do cukierni i na wystawę? Otóż „zimą – suknią popołudniową, płaszcz wełniany, ewentualnie futro. Do tego mały kapelusz z woalką, pantofle na wysokim obcasie, biżuteria. Latem – suknią z jedwabiu gładkiego, lub wzorzystego. Mały lub duży kapelusz, pończochy. Jeśli potem jesteś zaproszona na kolację lub tańce – używaj sukni bez rękawów i bolera.”

Tak nosiły się kobiety bywające w Ziemiańskiej. Franek do osób eleganckich z pewnością nie należał. Chociaż trzeba przyznać, że dbał o siebie w specyficzny sposób. Widoczny był z daleka – olbrzymia czarna bryła z rozwianą brodą, czasem osobliwego koloru (zależnie od tego, kiedy była malo-

wana) czasem rdzawej czerwieni, w porywach mieniąca się lekkim seledynem. Takim był, kiedy po raz pierwszy ujrzała go Izabela Gelbard, żona Jerzego Gelbarda – architekta. Właśnie była świeżo po powrocie z Paryża, wszystkie nowinki mody miała w jednym palcu. I nie tylko... poznała tam mnóstwo dziwaków i różnych ludzi, z którymi miała do czynienia na co dzień – można powiedzieć, że niejedno widziała i nic nie mogło jej zadziwić. A jednak... Otóż zobaczyła Franka siedzącego na kanapce Ziemiańskiej samotnie. I nie dlatego, że bywał osamotniony, wręcz przeciwnie – na tym meblu już nie było miejsca dla nikogo innego! Nikt oprócz Fiszera nie mógł się więcej zmieścić. Wijająca się broda spoczywała na piersi, a pod nią „wielki brzuch nad brzuchami – drgał konwulsyjnie”, co oznaczało, że Franek śmiał się. Był to bowiem człowiek pogodny i skłonny do śmiechu. Na głowie żonglował małym kapelusikiem, lekko zsuniętym do tyłu. W ustach trzymał fajeczkę. I to z grubsza cały opis Franca Fiszera – jakże jednak mizerny i dwuwymiarowy... ale i tak zakochała się w nim „na zabój”!

W tamtych czasach ciągle ktoś w kimś się kochał, z wyjątkiem Tuwima, który kochał się we własnej żonie i Franca Fiszera, który kochał filozofię i dobre jedzenie – czasem w odwrotnej kolejności...

W Ziemiańskiej, do której przychodzili jego uczniowie – zasiadał jak basza, przy stoliku zapalał fajkę, pił pół czarnej i grzmiał tubalnym głosem... „był nie istnieje...” Olśniewał i porywał innych. Kazimierz Błeszyński w swoich wspomnieniach o Fiszercie z 1939 r. pisze: „Nic równie śmiałego, rzutkiego, giętkiego i pewnego, jak myśl Fiszera, kiedy improwizował swe metafizyczne poematy, i nic równie żalospnego, zakłopotanego, nieporadnego, niezaradnego, jak Franc Fiszercie, gdy na co dzień nie wiedział, nie rozumiał, co ma począć z owym „bytem” i otaczającą go rzeczywistością.”

Biedny, kochany, genialny Franek. Niczego nie utrwał, niczego po sobie nie zostawił, oprócz coraz bledszych wspomnień!

Na szczęście pojawiła się ona – Izabela Gelbard. Właśnie niedawno wróciła z Paryża, jak już pisałam „przesiąknięta” atmosferą Montparnasse, elegancka i piękna, ale zanedbywana przez męża – Jerzego Gelbarda – architekta. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Nie była to zwykła miłość, zważywszy, że Franek miał już swoje 75 lat, a ona zakochana była w jakimś „Dziku”. Wielki Franc olśnił ją swoją „gigantyczną, tytaniczną, renesansową postacią”. Zafascynował grzmiącym głosem, zielono-czarną brodą i największym, wspaniałym brzuchem. „Czułam do Franka upodobanie ale i głęboką wdzięczność za to, że chce być moim przyjacielem” – pisze we wspomnieniach Bella. Codziennie rano wędrowali razem do Ziemiańskiej...

Izabela Gelbard to postać niezwykle barwna (a do takich mam słabość). Piękna, o wielkim temperamencie i wyobraźni... wiele faktów z jej życia stworzyła sama, ale też wiele wręcz nieprawdopodobnych, przeżyła naprawdę. Miała w sobie ogromną fantazję, apetyt na życie i tę radość, radość samego istnienia, której tak brakuje w dzisiejszych czasach ludziom. Zatem wszystko inne zostaje jej wybaczone, zwłaszcza że potrafiła być równie barwna i kolorowa po okropnych, wojennych przejściach. Cofnijmy się w czasie... „Przeraźliwie gwizdała lokomotywa, para przysłoniła wszystko – i dworzec, i odprowadzających mnie obu przyjaciół. Poprzez gęstą mgłę słyszę wciąż głos Władka Broniewskiego – „Uszy do góry Bella”. „Nie daj się” – wtóruje mu Bruno Jsieński.” Wtulona w róg przedziału, zaciskała pięści – chciał mnie sprzedać! Jej tatuś, a przecież tak go kochała... (ojciec chciał ją wydać za zamożnego kamienicznika z „dziurkami na nosie, ohyda!”) Rozżalona, uciekła do Paryża. Tam mieszkała od wielu lat jej matka z młodszą siostrą, nie jechała tak całkiem „w ciemno”.

Na dworcu powitał ją August Zamojski. Od razu poczuła się jak w domu, może dlatego, że „znał jej ojca, że był kimś z Nowogrodzkiej, przyjacielem Witkacego... kimś z Zakopanego...” Zamroczył ją ten Paryż... zresztą kogóż by nie zamroczył?! Śmiertelnie zakochana w nim Bella, podziwiała ludzi, ich inteligencję, poczucie humoru, a także język – „język sprzedawcy gazet, konduktora, kelnera – identyczny z językiem Anatola France’a.” Pisze: „W żadnym innym języku nie istnieją takie subtelności znaczeń. Czasem wydawało mi się, że źródłem tej lotności jest wino. Tylko w winie jest mądrość i świetlista radość” – wspomina.

A poza tym specyficzny wdzięk ulic, pałacików, placów. Niepowtarzalny klimat przeszłości i dnia dzisiejszego. Urzekające piękno, którego i ja sama miałam szczęście doświadczyć...

A wiele lat później pisze piękna Bella: „Wojna, głód, nędza... przywykłam do tego – do poniżenia, do gwiazdy Dawida na rękawie, do okrucieństw i śmierci, ale na dnie serca żyło we mnie tamto wspomnienie – Paryż w różowej mgiełce, Paryż – jedyna bezpieczna wyspa na świecie...”

Dobrze jest mieć takie wspomnienie i taką wyspę, kiedy nadchodzi Zło, chwile zwątpienia i wszystko, co najgorsze...

W czasie, kiedy Bella jeszcze nie знаła Fiszera zajmował się on przejadaniem majątku. Pewnie na wsi, we dworze, nie poszłoby mu tak szybko, ale on pragnął nade wszystko kontaktu z ludźmi z „twórczością”, jechał więc do Warszawy, zatrzymywał się z reguły w hotelu Europejskim. Wieść o jego przybyciu lotem błyskawicy obiegała miasto – „Franciszek przyjechał, Franc jest w Warszawie” – szeptano. Wkrótce schodził się tłum malarzy, pisarzy, rzeźbiarzy i wszelkiego autoramentu poetów, czy też takich, którzy za poetów się uważali. „Proszę wszystkich na obiad” – grzmiał głos Franca – „zголоdniałem!” Dyrektor sali restauracyjnej znał już gust swojego klienta – a więc lśniące biel adamaszków, błyski srebrnej zastawy, kieliszki kryształowe i kwiaty

rzucone w artystycznym nieładzie... Na mniejszym stole kuśiły oko „wszelkiego rodzaju przekąski, przystawki, ryby począwszy od łososia, sandaczy, karpia, poprzez anchois, krewetki, aż do sardynek i śledzi włącznie. „Nie widzę kawioru, a gdzie ostrzygi” – upominał się Franek. Pan Albin we fraku i sztywnym gorsecie z przedziałkiem i białą serwetką przewieszoną przez ramię sumitował się, wyjaśniał, przeproszał...”.

Na następnym stoliku stały, ustawione „niczym wojko”, butelki z alkoholem. Izabella Gelbard pisze, że był on jednym z „najwspanialszych znanych żarłoków, najznakomitszym koneserem gastronomii, a wręcz poetą podniebienia i żołądka.” Znana jest anegdota, kiedy to Fiszer postanowił w sześć lat po pierwszym pobycie odwiedzić ponownie stolicę Francji. Nie chcąc być narażonym na „przykrą mu samotność w czasie podróży”, swoim zwyczajem zaprosił małe grono przyjaciół – tylko dwanaście osób (ma się rozumieć na jego koszt).

Oczywiście przyjaciele wyrazili entuzjastycznie zgodę na całe przedsięwzięcie. Postanowiono wyruszyć ze dworu do graniczącej miejscowości Aleksandrowo – podają za Bellą Gelbard. Uczestnicy wyprawy jechali wolno ciesząc się majowym powietrzem, słońcem, obłokami na niebie i zatrzymywali się w przydrożnych oberżach. Już niedaleko było do w/w Aleksandrowa, skąd mieli już tylko wsiąść w pociąg jadący z Petersburga wprost do Paryża. Wieczorami w kolejnej oberży poeci czytali swoje wiersze przy lampie naftowej i świecach. „Nie ma bytu” – powtarzał Franc swoje ulubione credo „śmierć nie istnieje” – głosił gotując się do smakowitej wieczerzy. Było to gdzieś w okolicy Kujaw, niedaleko Włocławka. Gospodyni poprzedniego wieczoru zaszlachtowała wieprzka i wniosła na półmisku gorące kiełbaski (wg domowego przepisu). Franek aż przymrużył z lubością oczy – w miarę słone, pieprzne i jeszcze jakiś inny, nieznanym mu smak ziała, a może korzeni?! „Genialne” – obwieścił gromkim

głosem i kazał gospodyni podać jeszcze – „Jakieś sześćdziesiąt, a i na jutro odpowiednią porcję.” Po czym został jeszcze na kilka dni usiłując zgłębić ich „metafizyczny smak”... po pięciu dniach zaordynował jeszcze sześć wieprzy...

Trwało to do połowy czerwca. Pieniądzy na Paryż już nie starczyło, ale Franc wcale się tym nie przejął – „podróż udała się kolosalnie” – obwieścił po powrocie.

Ciekawe, czy smakowałby Frankowi mój przepis na sztufadę (jego ulubione danie): „weź 1 i ½ kg szynki wieprzowej i 10 dkg wędzonej słoniny. Zbij mięso tłuczkiem, naszpikuj cienkimi paskami słoniny i ząbkami czosnku. Posyp przyprawami: majerankiem, solą, pieprzem, zrumień na silnym ogniu, potem skrop wodą, przykryj i duś do miękkości... gotową wyjmij, a do sosu spod mięsa dodaj pokruszonego razowego chleba, podduś, przetrzyj przez sito i podawaj do mięsa”.

Może tak, a może nie. Może by mnie zbeształ, ale przecież pomimo wymyślań „i wrzasków od czasu do czasu” był – jak pisze Bella – „najpogodniejszym z ludzi, z którymi codzienne współzycie daje radość życia i umacnia w przeświadczeniu, że świat jest piękny, a życie to wspaniała metafizyczna kombinacja.”

Jakże jej zazdroścę! Dzisiaj takich osób nie spotyka się wcale. Nie można być radosnym i cieszyć się z życia. Nie wypada! Trzeba narzekać, marudzić, gderać. Inaczej twoja najbliższa przyjaciółka postara się, żeby nie było ci zbyt dobrze.

Wróćmy do Belli Schwartz. W 1924 r. upaja się Paryżem, a że jest kobietą czynu, otwiera polską księgarnię... w piwnicy, niedaleko sąsiedztwo z WC, ale nic nie przyćmiewało „blasku posiadania firmy”. Piwnica należy do niejakiego pana Duboisa, ale i jego zachwyca pomysł i odwaga młodej Polki do tego stopnia, że skredytował pierwszą partię katalogu, gdzie wypisane były tytuły i cena książek. Bella pisze list do Warszawy, ale nie do tatusia, od którego ucie-

kła, bo chciał wydać ją za mąż za kamienicznika (czego nie może mu zapomnieć), ale do Julci, służącej u nich od osiemnastu lat. Pisz: „mam własną księgarnię, potrzebne mi są książki, bo jaka to księgarnia bez książek, a na razie nie mam pieniędzy, żeby za nie płacić.” Okazuje się, że Julcia umie działać. Za 14 dni przychodzą pierwsze dwie duże paki z książkami, po następnym tygodniu trzy i później następne. Bella pisze: „na swoją obronę dodam, że raz na miesiąc posyłałam na nazwisko Julci pieniądze, naturalnie na początku marne.”

Cudna jest odpowiedź Julki, która świadczy, że była nie tylko panną służącą, ale przyjaciółką rodziny: „W pierwszych słowach mego listu niech będzie Pochwalony Jezus Chrystus, a teraz donoszę Ci, moja droga Belluniu, że jestem zdrowa, czego i Tobie życzę. Na przyszły miesiąc, a może za trzy tygodnie, będziem mieć okazję do Paryża i wyślę przez nią Twoją ulubioną kielbasę dębowicką dwa kilo, jedną polędwicę wędzoną, a co do twoich interesów książkowych, to bądź spokojna, bo wszystko załatwiam i na przyszłość też załatwiać będę. Ale abyś nie żałowała sobie jedzenia, bo o to najwięcej się turbuję. Pamiętaj, żeś na płuca chorowała, a to może się znowu odezwać. Ja po mojemu radzę – nie grymas, a jedz tłustego schaboszczaka i popijaj gorącą herbatą. Łatwiej strawisz i żadnych kłopotów żołądkowych mieć nie będziesz. Donoszę Ci, że przez okazję, co poprzednio pisałam, posyłam większy słoik topionej słoniny, tak jak w domu lubiłaś – z jabłkami, skwarkami i z cebulką. A teraz pozdrawiam Cię raz jeszcze nie rękami ani nogami, ale pobożnymi słowami. Twoja Julka Topolka.”

Nadszedł wspomniały dzień dla Belli – „półki suto zaopatrzone w książki, stół nakryty zielonym kartonem”, na ścianie płótno Chaima Souitne’a – portret Fernandy (obraz ten Bella zabrała do Warszawy, gdzie wisiał w jej domu do 1941 roku. Potem zabrali go Niemcy). „Dla niewtajemniczonych” – jak pisze Bella – „mógł się wydawać jakimś potwornymi

bebechami, wśród których dawało się dojrzeć dwoje oczu.” Chaim nie był jeszcze w owych czasach aż tak znany i ozdoba ściany w postaci jego obrazu nikogo nie zachwycała. Jednak widać wśród Niemców był jakiś koneser sztuki...

Księgarnia nieźle prosperowała, napływały zamówienia, dodatkowo w Lille otworzono pierwszą szkołę dla dzieci, posypały się zamówienia na podręczniki, potem proszono o globusy i mapy Polski. „Mieliśmy ręce pełne roboty” – pisze Bella. Nie ma jednak róży bez kolców. Na nic się zdało, że w kilka miesięcy spłaciła długi... Jej narzeczony, późniejszy mąż, Jerzy Gelbard – architekt (w którym była nieprzytomnie zakochana, a który później zdradził ją ze Stefą, „co wasy miała jak huzar”) przyszedł któregoś dnia, rozejrzał się po wnętrzu, które jej wydawało się wspaniałe, gwizdnął przeciągle i powiedział: „Bieda z nędzą, kto tu przyjdzie, chyba ci co do WC i to przez pomyłkę.” To był cios poniżej pasa! Ten to potrafił człowieka podtrzymać na duchu! „Proponuję ci kawę i obiad w cywilizowanych warunkach” – powiedział lodowatym tonem na odchodne. Oczywiście w „Cafe du Dôme”...

Tam spotykali się wszyscy: Tytus Czyżewski, Jacek Puget, Kramsztykowie, Zamojski. Bywała też Aischa... (Jerzy był niechętny tej znajomości, bo w końcu kim ona była? Pomijając kolor skóry, dziewczyną z ulicy, modelką, zresztą nie wiadomo kim). „Uważam, że powinnaś wiedzieć z kim się przyjaźnić, a z kim nie” – mawiał mentorskim tonem. Bella posłusznie kiwała głową, ale swoje wiedziała. Aisha była jedną z najpopularniejszych postaci na Montparnasse – odpowiednikiem owej słynnej Kiki – tyle, że w hebanowym kolorze. Murzynką z włosami jak materac, z bajeczną figurą, nogami po szyję, szerokim spłaszczonym nosem i oczami... O tych oczach można napisać poemat. Pisze Bella: „Czułość i żar, głęboki, metafizyczny smutek.” Jak można było jej nie kochać? Największą miłością życia Aishy był Polak. Nie kto inny, ale Bolek, młody doktor medycyny: najpiękniejszy

chłopiec jakiego oglądał Paryż. Mowa oczywiście w Weniawie-Długoszowskim...

Mimo pełnych nagany spojrzeń Jerzyka Bella przysiadła się do stolika Aishy: „Widziałaś go, mówił z tobą, przyjedzie do Paryża?” – nie może go zapomnieć, mimo że zapomniała wielu przed i po nim.

Cóż jej powiedzieć? Czy to, że Bolek właśnie kocha żonę swego przyjaciela – Berensonową, że spodziewają się dziecka, że pije jak zwykle, a w mundurze wygląda jeszcze piękniej, bardziej uwodzicielsko? A kiedy czytał swój wiersz „Szwolężerowie” wszystkim kobietom serce waliło jak młot, a on oślepiął swoją urodą – orlim nosem, smukłą postacią... „Rozumiem cię Aisho” – myśli Bella – „tak bardzo cię rozumiem...” Po wojnie spotkały się na Montparnassie. Usiadły przy stoliku jak kiedyś, wieki temu... „Ach, Bolek” – westchnęła Aisha. Towarzyszyły jej dwa ogromne dogi – pisze Bella i myśli o Bolku, który w Nowym Jorku zakończył życie wypadając na bruk, z któregoś tam piętra. Ten poeta, pełen fantazji, radości życia i humoru, „pijany nie tylko alkoholem, ale samą radością istnienia, zakąta mieszczańskiego żywota – najczystsza prowokacja dulszczyzny, a potem abstynent, dyplomata, doskonały ojciec rodziny, zrosnięty wszystkimi włóknami z Warszawą – czuł się w Nowym Jorku jak potępieniec... Wolał ten skok, a właściwie lot spadającej gwiazdy, niż dalej ciągnąć w Ameryce swoje przegrane życie... „Rozumiesz Aisho” – pyta Bella i kuli się w cienkim sweterku, bo właśnie powiało chłodem od bulwaru Raspail, a może od strony cmentarza Montparnasse...

Aisha już nie żyje. Bella zapamiętała ostatni obraz – dwa wielkie dogi, a między nimi niewielkiego wzrostu Murzynka. Stara kobieta.

W czasie tej ostatniej podróży Paryż był inny. Cafe du Dome nie była tak modna, nie było nikogo z dawnych znajomych. „Zaków nie ma, Kramsztyków nie ma... Jerzego nie ma. Warszawa jest inna, Montparnasse jest inny. Mój Boże!

Jedne generacje wymierają, na ich miejsce przychodzą inne, tak było od początku świata. Tak było zawsze i musi być...” Píše Bella Gelbard: „Życie wydawało mi się sielanką. Obcowałam z ludźmi pogodnymi, nie obarczonymi kompleksami, a co za tym idzie, neurastenią. To wielka wygrana.” Jakże jej zazdroścę.

„Rozpoczynaliśmy dzień radosnym oczekiwaniem, co następna godzina przyniesie. Razem chodziliśmy do Ziemiańskiej, razem wracaliśmy (Franc zamieszkał u Belli tymczasowo). O ile Franciszek nie miał zanotowanego w kajecie żadnego „proszonego obiadu”, a trzeba przyznać, że notował te obiady skrupulatnie, w dużym, czarnym, zniszczonym notesie jadał u Beli. Dopiero pojutrze – mówił zmartwiony – jestem zaproszony do Filipa Endelmana. Był niezadowolony... – Nie martw się Franusiu, zapraszam cię dzisiaj na obiad – Bella starała się go pocieszyć. – A co dzisiaj macie? – pytał nieustępliwie Franc. – Kaczuszkę, ja za nią nie przepadam (kaczka, wiadomo, ptak niewielki, dla niej i Jerzego wystarczyłoby), a mąż pewnie zje na mieście...”. – Cóż za naiwne i niemądre stworzenie – perorował Franek – nie lubić kaczki? Można nie lubić pewnych teorii, można nie lubić pewnych znajomych, można cholera nie lubić kobiet! Ale kaczki?!! Jesteś nienormalna – konkludował swoje wywody. Mąż Belli, Jerzy, chętnie gościł Fiszera i lubił go, ale drażniło go jego „niechlujstwo”, nie cierpiał porzrzuconych kulek popiołu z fajki, tzw. „fidibusów” leżących na dywanach, posadzce i tapczanach, wściekał się, że Franek nie szesuje z brody pozostałości z obiadu (Bella sama zwykle to robiła). Dochodziło do przykrych scysji. Znając temat, wydaje się, że przyczyną było inne podłoże. Otóż któregoś dnia (małżonka dowiaduje się jak zwykle ostatnia) okazało się, że Jerzyk ma romans z niejaką „Stefą, co wasy ma jak huzar”. Zwykle o to chodzi... W domu nastrój stawał się nie do zniesienia - „jego oprócz teorii metafizycznych i jedzenia nic nie obchodzi – wściekał się Jerzy – a w dodatku z domu robi chlew, nie spo-

sób żyć z takim niechlujem, jesteś tak samo dzikie zwierzę, jak on.” Tu Jerzyk już grubo przesadził. Franc, nie tylko nie był owym „niechlujem”, ale wprost przeciwnie, jak mało kto dbał o swoją higienę i wygląd, tyle że w swój specyficzny sposób. Nie zwracał zupełnie uwagi na pokój, w którym mieszkał, na jadalnię, w której przecież dokonywał aktu spożywania posiłków, na pokoje otaczające również. W tym była niestety pracownia Jerzego, którą traktował jako coś w rodzaju „stajni, czy obory”. Fajkę wytrząsał najmniej osiem razy dziennie i to nie gdzie indziej, tylko w atelier Jerzyka, a tzw. fidibusy sporządzał sobie z pism i gazet. Czasem były to artykuły z francuskiego architektonicznego pisma Corbusiera i Ozenfanta. To już był koniec! Mąż Belli zdecydował, albo on, albo on (czyli Jerzy). W końcu jeszcze mieli wilę w Skolimowie... Stało na tym, że kiedy Jerzy jest w domu – Franca ma tam nie być. A że pan domu w owym czasie często wyjeżdżał do Anglii, Francji i Włoch, sprawy dały się jakoś pogodzić i obie strony były zadowolone.

I tak było długi czas – Jerzyk wyjeżdżał, wieczorem zjawiał się Franciszek, witany entuzjastycznie najpierw przez psy, potem przez królującą w kuchni Weronkę (nikt tak jak on nie potrafił ani przedtem, ani potem docenić jej kuchni) nawet przez dozorcę – wszyscy oni tworzyli orszak powitalny Pana Profesora. On też miał z nimi doskonały kontakt.

Od progu marudził: „Diabli nadali, na wsi post, raz na tydzień odrobina mięsa! Czy mógłbym prosić, droga Weronciu, sztufadę na obiad? – A dyć się robi, polecę na targ, mi-giem obrócę...” – odpowiadała z uśmiechem.

Wydawało mi się, że Weroncia tak właśnie odpowie. Ale kiedy dotarłam do źródeł okazało się, że nie Weroncia, a właściwie Józefowa z dumą w głosie odpowiedziała, że „A dyć wiadomo było, że pan Profesor dzisiaj przyjedzie. Sztufada się dusi, że proszę siadać.” Franek tymczasem szedł do „kapielowego”, aby umyć ręce. Tymczasem na stole zjawia-

ły się przekąski: wątróbki, zimna cielęcina, grzybki marynowane i wielkie płaty szynki. Różowe i pachnące... Pycha!

Niezwykłe często przyjeżdżał Franciszek zaniebdany, z brodą źle umalowaną, która nabierała niebezpiecznych purpurowo-zielonych odcieni... Jedna brew nakreślona wyżej, druga niżej. Beznadziejność! Bella brała się do roboty. – Gdzie są twoje bagaże – pytała Franka, czyś aby nie zostawił ich w pociągu? – nie mogła sobie przypomnieć widoku saskwojaża. – Weronko, gdzie są moje rzeczy – wrzeszczał Franciszek. Zwykle była to torebka papierowa, tzw. „tutka”. Niewiele tam było... butelka z czernidłem, szczoteczka do „oporządzania” brody... i nic więcej. Biedny, kochany Franc. Tak niewiele wymagał od życia. A tak wiele dawał innym.

Nie miał nawet koszuli nocnej. „E, duszyczko, przesadzasz – mawiał – pierś przykrywa mi broda, a ramiona się nie liczą.” Naturalnie Bella kupowała mu koszulę nocną i wszystkie inne rzeczy, potrzebne dla normalnej egzystencji.

Jedynym przejawem próżności, a raczej tęsknoty do elegancji była potrzeba posiadania przez Franca pąsowego goździka w butonierce. I nie obchodziło go, że garnitur miał więcej niż sfatygowany. Ubranie nie odgrywało roli – ważny był ten goździk, świeżo ufarbowana broda i równo zarysowane brwi... Przy okazji kupna koszuli nocnej wstępowała Bella do sklepu spożywczego Hirszfelda (jakiż doskonałe rzeczy można było tam nabyć, cóż tam był za wybór!). Franek lubił przekąski. Zatem kupowało się duży, grubo krajany płat łososia wędzonego. „Oczywiście tłustego łososia” – zaznaczał Franek, przygotowując się z namaszczeniem do obiadu podśpiewywał „W lasku Idy trzy boginie”, okropnie zresztą fałszywie, ale było to u niego objawem najwyższego zadowolenia. „Łagodna intymność naszej przyjaźni” – pisze Bella – sprawiała, że Franciszek zaczął jej się zwierzać ze swoich spraw, o których nikomu dotąd nie mówił. Kiedyś po obiedzie – kiedy on kończył kawę, a ona ulubionego papie-rosa „Balto”, nieoczekiwanie powiedział, że wróci późno.

Bardzo późno, albowiem musi odwiedzić swoją metrese... Antoinette. Tak miała na imię. Bellę zatkało. Nikt nigdy nic na ten temat nie mówił. W Ziemiańskiej na pewno ktoś by wiedział. Tę stronę życia Franka przepełniała całkowita tajemnica. Istotnie, nie wrócił wieczorem do domu. Bella wyobrażała sobie, a raczej jej się przyśniła, *famme fatale* o rudych włosach uczesanych niewiedomo dłaczego w kok... była piękna, tajemnicza i niedostępna... I nagle ten telefon, że trzeba przyjść na Marszałkowską 79, w oficynie na lewo, trzecie piętro. Przejęta Weronka mówi, że już trzeci raz dzwonią... No cóż, Bella była w Adrii, trochę wypita, sporo przetańczyła... ale w pół godziny była na miejscu. Dom, jak to na Marszałkowskiej, z frontu sklepy, dalej brama, podwórze; pędzi po kręconych schodach na górę! Na podeście trzeciego piętra jakaś kobieta szoruje podłogą, wiadro, ług... właśnie wyżyma szmatę. Spódnice ma podkasaną powyżej kolan. Podnosi w górę głowę, ukazując dziobatą twarz spracowanej kobiety, kiedy Bella pyta o Franka. „Adyć Franciszek u mnie leży, wczoraj przejechała go taksówka”. Jasne kosmyki upięte w niedbały kok rozsypują się na brudną koszulę... „Antośka, tu do mnie!” – słychać donośny głos Franka. Nie ma wątpliwości. Antoinette w całej okazałości uśmiecha się zażenowana. Jaka zadziwiająca jest rzeczywistość!... „Kiedy potrafiła go taksówka, sprowadzili taksówkarza, że niby wedle sprawy sądowej, żeby nazwisko podał, a tu pan Profesor jak nie krzyknie swoim głosem; żadnej policji, żadnego procesu... i tak leżąc na chodniku wyciąga rękę do szofera i mówi, że dziękuje, że go przy życiu zostawił” – relacjonuje Antosia – „No, niech pani sama powie” – kończy... Po kilku tygodniach, kiedy złamana noga zrasta się znakomicie, Franc wraca do mieszkania Belli. „A jak w Ziemiańskiej?” – pyta zaraz po śniadaniu. „Wszyscy marzą o tobie, nie mogą się doczekać...” „To może poszlibyśmy zaraz na pół czarnej?” Bella rozumiała jego niecierpliwość. Tęsknił za ludźmi, chciał znowu w zatłoczonej sali posłyszec

swój własny, tubalny głos, głodny był słuchaczy, bez tego wiażd, usychał...

Jest rok 1936. Pisze Bella: „Siedzieliśmy w ogródku w Ziemiańskiej. Była to wiosna, albo może jesień... W ogródku nie było ani kwiatów ani krzewów, wszystkiego dwa, czy cztery duże drzewa. Żwir – na nim stoliki i żelazne krzeselka. Ale dla nas wtedy to podwórko spełniało rolę ogródka. Nawet opalić się tam można było, nawet zażyć ciepłej ulewy... Mówiono o tym, co się dzieje poza zachodnimi granicami Polski...” Bella szalała z niepokoju, bała się wojny. „Nie martw się laleczko, natychmiast po otrzymaniu wiadomości, że wojna została wypowiedziana, własnoręcznie cię zastrzelę” – pocieszał ją Franek. Kiedy we wrześniu pierwsze bomby spadły na Warszawę, niestety nie zdążył jej zastrzelić. Zmarł w kwietniu 1937 roku. A ona, piękna, elegancka Paryżanka musiała „przeżyć tę najohydniejszą z ohyd”... i przeżyła.

Zamykają się drzwi Ziemiańskiej. Jeszcze jest prawie tak samo jak przedtem – słycać gwar głosów, zapach kawy, ale jest jakaś nerwowość w tym wszystkim, mówi się tylko o jednym („wojna wisi na włosku”). Ludzie są przestraszeni jak ptaki przed burzą. Zostawiam ich... w pół obrocie, w niedokończonym geście, w uśmiechu, który nie zdążył zgasnąć na twarzy...

W nocy śnił mi się Franc Fiszer – szybował po niebie, pomiędzy obłokami z niestarannie ufarbowaną brodą, rzucając zielone refleksy i wołał tubalnym głosem: „Nie ma bytu, byt nie istnieje, śmierć nie istnieje...”

Obyś Franku miał rację.

Zanim jeszcze zaczęliśmy wspólnie z Jolantą Rogowską i Danielem Boćkowskim realizować cykl wieczorów pt. „Lata dwudzieste, lata trzydzieste”, napisałam scenariusz do przedstawienia, które opatrzyłam tytułem „Mężczyźni, których kochałam”. Był maj, wieczorem spektakl, ja w nerwach... idąc po pracy do domu rozmyślałam o kreacji, która nie do końca dobrze leżała. Na pocieszenie kupiłam sobie bukiet żółtych żonkili, ale nie pomogło.

Przypomniałam sobie wszystkie wpadki na próbach – był przecież maj, ciepło, nikomu nie chciało się siedzieć w dusznej sali – przychodziłam ja, dziewczyny, które miały śpiewać i recytować, oraz nieodmiennie jeden przedstawiciel czteroosobowego zespołu – bez nazwy – który zapewniał od progu, że wszystko pójdzie dobrze, chłopcy są przygotowani, po czym przetrwawszy dzielnie kilka minut próby ulatniał się bezszelestnie... Nagle na środku miasta przestraszyłam się tego całego przedsięwzięcia – po co mi to było? Jeszcze ten prowokujący tytuł...

Dopiero widok scenografii – stoliki ustawione prawie jak w Ziemiańskiej, przyćmione światło, wpuściły promyczek nadziei do mojej duszy, że może nie będzie tak źle. No i nie było!

Popłynęły opowieści o Kossakach, naburmuszonej Lilce, która nie miała szczęścia do mężczyzn, ani do wydawców, o rubasznej Madzi, jej siostrze, o miłościach i miłostkach Ordonki – a wszystko to przerywane prawdziwymi hitami tamtych czasów (zespół pojawił się tym razem w pełnym składzie) wlewało się miodem do serca. Polał się też szampa...

Zaproszeni goście nie chcieli wychodzić, chociaż spektakl dobiegł końca. Porwany nastrojem zespół grał bez specjalnej zachęty coraz to inne przeboje z tamtych lat, ktoś zaczął tańczyć tango. Może to nawet byłam ja... uwielbiam tango!

Do domu wracałam późno, bardzo późno... zupełnie jak Haneczka, a właściwie Marysia Pietruszyńska. Wtedy wstawał warszawski, mokry świt 1918 roku, ale jaki to był rok!... „Na ulicach Warszawy rozbraja się Niemców odbierając im rewolwery, karabiny, nawet pikelhauby. Piłsudski zwolniony z twierdzy w Magdeburgu wraca do stolicy owacyjnie witany przez niezliczone tłumy.” Zewsząd powiewały biało-czerwone flagi... może w owym tłumie była nasza przyszła gwiazda – stawała na palce, żeby coś zobaczyć – była przecież drobna i niewysoka... przez myśl jej nigdy by nie przeszło, że kiedyś i ona będzie wzbudzać zachwyt tłumów, że na jej cześć też będą wiwatować i klaskać. Ale to jeszcze daleka przyszłość... Na razie jest niezwykle rok 1918 – koniec wielkiej wojny i zmartwychwstanie niepodległej Polski. Uszczęśliwieni ludzie biegają po mieście, w kawiarniach brak wolnych miejsc, teatry wypełnione co wieczór po brzegi. Zajrzyjmy do starych programów – w Operze grają Halkę z Gruszczyńskim w roli Jontka, w Polskim Wyzwolenie Wypiańskiego z Osterwą, który „jakże rozmarzonym wzrokiem wodzi po widowni (później takim wzrokiem będzie błędził za naszą Haneczką). Dalej – Teatr Rozmaitości i Józef Węgrzyn w roli Księcia Pepi – wzbudza westchnienia panien i mężatek, a w Nowościach operetka Manewry miłosne z „szampańską” Lucyną Messal – naprawdę jest w czym wybierać!”

Brudny, szary świt odprowadza Marysię Pietruszyńską wracającą z próby – niedługo premiera „Niech żyje pokój”. W finale cały zespół z tancerkami ze szkoły baletowej wychodzi na scenę. Tyle że ona jest na szarym końcu. Myśli z zazdrością o słynnej z urody Niucie Bolskiej, którą ostatnio

zaangażował Julicz i w której z miejsca się zakochał. Zresztą nie tylko on ale również autor tekstów, Andrzej Włast. O dziwo, panowie nie skoczyli sobie do oczu, ale cała trójka tworzyła zgrane trio: „Julicz przydzielał Niucie najlepsze role, Włast pisał porywające teksty, a ona znajdowała czas dla obu panów...”

Kolejna próba kończy się nad ranem. Ulicą idzie dwoje ludzi – On – reżyser – ma na sobie „pilśniowy kapelusz, paltó z aksamitnym kołnierzem, jedwabną chustkę w perski deśń na szyi i hebanową laskę ze srebrną gałką, a ponadto karnarkowe rękawiczki – sam szyk i elegancja. Obok drepcze Ona – Marysia – mała, szczupła, bez prezencji.” Pantofle mają powykrzywiane obcasy, paltot wyraźnie podniszczony, a lis tu i ówdzie wyjedzony przez mole. Za duża czapka co chwila zsuwa się jej na oczy. Ledwie ma śmiałość zapytać Mistrza, czy ma jakieś szanse wystąpić nie tylko w balecikach, ale jako Artystka...! „Wszystko jest możliwe” – mówi filozoficznie Hanusz, bo on to jest właśnie. On – król tanga. – Ale to nazwisko! Bój się Boga – jeszcze ktoś powie Pietruszka...” Marysia pochyla głowę zmagając się jednocześnie z opadającą czapką. Maestro popada w zamyślenie, potem przystaje na chwilę... „poczekaj, poczekaj, a może tak Ordon. Maria Ordon... chociaż może to pospolite? – Na drugie mam Anna – szepcze przyszła gwiazda. – No, nawet może być, Anna Ordon. Voila!”. Haneczka podskakuje jak mała dziewczynka. Ma nowe, artystyczne pseudo. Ale to jednak nie wszystko. Mimo że ktoś znajomy pisze jej słowa do piosenki na jakąś zagraniczną melodię, mimo tego, że ma pożyczoną sukienkę i sznurek pereł... kiedy inspicjent mówi – panna Ordon na scenę, a publiczność patrzy z wyczekiwaniem... na tle czarnej kotary staje niebrzydka dziewczyna w białej sukni bez rękawów, odsłaniającej białe chude ręce. Na czubku fryzury chwieją się perełki, a w banalną melodię wplata się piskliwy głosik docierający zaledwie do

pierwszych rządów (zresztą może i lepiej). Pseudonim to jednak nie wszystko. To po prostu nic. To po prostu kłapa!

Nazajutrz we wszystkich dziennikach ukazały się recenzje rozpluwające się dosłownie nad wspaniale zbudowaną Niutą Bolską, ubraną w swoim numerze w zaledwie „kilka listków figowych”. O Ordonce też piszą, że... szkoda na nią słów... Julicz natychmiast zdejmuje jej numer z afisza mamrocząc coś pod nosem o tym, że „dzieci i kotów na scenie nie należy pokazywać.” Nie był w tym momencie złośliwy. W samej rzeczy Haneczka w swoim występie wyglądała jak piszcząca myszka, stojąca na tylnych łapkach!...

Spuśćmy zasłonę zapomnienia na ten niechlubny epizod. Zresztą już w 1919 r. wyjeżdża do Lublina... jakże tam inaczej niż w stolicy: tanio, ludzie sympatyczni, budynek teatralny przyjemny, a garderoby suche i czyste, żyć nie umierać! Dwaj przedsiębiorcy teatralni, którzy sprowadzili tu artystów, pomogli urządzić się im w różnych domach. Hanka trafia na przemiłą starszą panią. Jeden z tych przedsiębiorców to Sarnecki – przyszłe „nieszczęście Hanki”. Na razie wszystko wygląda dobrze – organizują „Wesoły Ul”. Z Warszawy przyjeżdżają nowi aktorzy m.in. uroczą szatynka Maria Morska. Zespół Wesołego Ula jest sześćciosobowy, ale wystarczający. Atmosfera jest serdeczna, co dla przewrażliwionej Haneczki jest sprawą niesłychanie istotną. Pierwszy program sklecony zostaje szybko (Haneczka wykona w nim kilka piosenek: „O mój rozmarynie”, „Ułani, ułani, malowane dzieci” oraz „Rozszumiały się wierzby płaczące” – można powiedzieć, same hity. A na koniec „Rozkwitały pąki białych róż”). Przedstawienie robi furorę.

Domański z Wrzosem szaleją z radości, piszą następny program. Haneczka ciężko pracuje. Chętnie wysłuchuje uwag, najchętniej jednak przebywa w towarzystwie Sarneckiego, tylko jego wskazówki przyjmuje na próbach, a poza teatrem stara się spędzić z nim każdą wolną chwilę. Może go słuchać godzinami. Nie ma co ukrywać, zadurzyła się w tym

przystojniaku i pokochała pierwszą miłością siedemnastoletniej dziewczyny. Promienieje...

Nic dziwnego, że na scenie zwraca uwagę oficerów talentem i urodą. Wyżej wymienieni oraz bogaci ziemianie posyłają jej kwiaty i zaproszenia na kolację. Wśród nich jest podobno jakiś generał, który co wieczór zasiada w pierwszym rzędzie i przez woźnego „śle bukiety róż i miłosne liściki.” Nie doczekawszy się odpowiedzi, niezrażony, czeka przed teatrem z kwiatami i bombonierą w świetle ulicznej latarni, żeby zobaczyć (o nieszczęsny!) Hankę przytuloną do ramienia Sarneckiego, który jak co wieczór odprowadzał ją do domu.

Teatr jednak, pomimo świetnych przedstawień, zaczyna się rozpadać. Pierwszy ulatnia się Wrzos, tak naprawdę – Tadeusz Żeleński – którego rodzice zasypują listami, żeby nie marnował sobie życia sztuką i wstąpił na uniwersytet oraz został porządnym człowiekiem, a nie kabareciarzem. Musiał ustąpić. Jeszcze obiecuje, że będzie przysyłał teksty... ale wiadomo jak to jest. Zespół opuszcza również Maria Morska, która rzekomo posprzeczała się z Domańskim o jakąś rolę, którą ten powierzył Ordonównie. Jest to pewnie tylko pretekst, bo nie daje się przeprosić nawet wtedy, kiedy Hanka zrzeka się tej roli. Wraca do Warszawy, jakoby śmiertelnie obrażona (Tak przynajmniej rozgłasza, ale wiadomo, że od dawna korespondowała z dyrekcją Argusa. Po prostu wstydziła się przyznać przed kolegami...).

Domański w rozpaczę sprowadza ze stolicy dwoje aktorów. Oboje niby zdolni, ale on jest zdecydowanym „moczymordą, który wszczyna burdy w okolicznych restauracjach”, a ona robi „większą karierę wśród stacjonowanych w mieście oficerów” niż w teatrze. Pojmuje, że to koniec. Usiłuje złożyć swoje stanowisko w ręce Sarneckiego, ale bez powodzenia... „Wesoły Ul” daje ostatnie przedstawienie, a potem zespół idzie na kolację do Grand Hotelu... Wino, toasty, uściski... wszyscy rozchodzą się po drugiej w nocy, rano

każdy ma dziesiątki własnych spraw do załatwienia. Niektórzy zostają w Lublinie, inni, tak jak Ordonka i Sarnecki wracają do Warszawy.

Kolejarz Pietruszyński niemało nagryzł się w życiu tym, że ma córkę „artystkę”, co nie określało w jego sferze przyzwoitej dziewczyny, dyskutuje o tym z żoną pierwszego wieczoru po powrocie Maryśki z Lublina (kiedy tamta nacieszywszy się rodziną, ustawia sobie w kuchni, jak zwykle, składane łóżko). Ze strzępów rozmowy słyszy, że ojcu nie podoba się jej sposób życia. Rano, kiedy budzi się – ojciec już dawno poszedł do pracy – matka powtarza, jakie plotki krążą o jej pobycie w Lublinie. Obie są zgodne – Marysia musi się wyprowadzić. Ubiera się i wychodzi. Nogi same niosą ją na tę część Marszałkowskiej, gdzie mieści się Sfinks. Ile znajomych miejsc! Apteka Malinowskiego, od której z daleka pachnie anyżkiem i miętą, sklep spożywczy Braci Pakulskich – na wystawie moc winogron i innych owoców, butelki wina, szwajcarskie sery i puszki z kawio-rem. Kino Stylowy z ostatnim przebojem „Indyjski grobowiec”. W roli głównej Conrad Vaidt i Mia May, a dwa domy dalej słynny fryzjer Ewaryst, gdzie strzygą się najlepsi artyści. Potyka się prawie o wychodzącego z zakładu, mocno pachnącego wodą kolońską osobnika. Przecież to nie kto inny, tylko Hanusz! W oku monokl, w rękę laseczka ze srebrną gałką. Na jej widok zatrzymuje się w pozie mającej wyrażać podziw i zdumienie nad jej zmienionym wyglądem. To prawda, od dawna nie przypomina białej, piszczącej myszki. To już prawie kobieta, może niezbyt dobrze ubrana, ale kobieta... Sam Konrad Tom, spotkany w cukierni mówi jej, że „wydoroślała i zmężniała, aż trudno uwierzyć.” Coś w tym jest! Proponują jej spotkanie w Mirażu. Nowy Świat 63.

Po wstępnych grzecznościach, Hanusz bierze na bok ówczesnego dyrektora i szepcze mu coś do ucha. Jerzy Boczkowski obrzuca Hankę spojrzeniem, po czym napełnia wygasłą fajkę machorką z kapciucha i proponuje, żeby coś

zaśpiewała. Jest to tylko pretekst: wiadomo, że Hanuszowi nie sposób odmówić. Ta mała ma już angaż w kieszeni. Kiedy „mała” śpiewa na widowni pojawia się „dama w modnym kapeluszu i rozpiętym karakułowym futrze, zbliża się do sceny i wskazuje Haneczkę ruchem głowy, pyta głośno: „A cóż to za nowa d.....” (wg Tadeusza Wittlina).

To nie kto inny, tylko „Bajkosia” – Zofia Bajkowska, poetka znana z dowcipnych utworów, a bardziej z „soczystego stylu wypowiedzi”, mówiąc najdelikatniej. Wybacz się jej wiele, bo to osoba o niesłychanie dobrym sercu, wiadomo wszem i wobec, że lubi opiekować się innym, a mając obszerne mieszkanie „chętnie za bezdurno, odnajmuje pokoje biednym artystom”. Ma ponadto słabość do Lola, czyli Hanusza. Tym sposobem, kiedy Ordonka podpisuje angaż w kancelarii, ten załatwia jej jednocześnie mieszkanie. Tyle szczęścia naraz! Jeszcze tego samego dnia Hanka zabiera swoje sukienki i bieliznę, pakuje do tekturowej walizki i żegna się z matką, niby nie daleko... przecież to samo miasto, ale obie czują, że na zawsze. Koniec z Żelazną 68. Teraz przed nią obszerne mieszkanie na Koszykowej 50. Mieszkanie urządzone staromodnie i artystycznie, a jej pokój – po prostu cudo! Stylowe meble, stół nakryty haftowaną serwetą, porcelanowe figurki...

Po rozpakowaniu jedynej walizki Ordonka wybiega na miasto. Chce się podzielić dobrymi wiadomościami z Sarneckim, który zamieszkał u przyjaciela. W obskurnej kamienicy jakiś rozczochrany typ mówi jej, że: „Jasiek się wyprowadził, nie wiadomo dokąd.” Żadnego listu, ani adresu nie zostawił. Och ci mężczyźni!

Zamiast Sarneckim (który zresztą przysporzy jej jeszcze kłopotów) powinna raczej zająć się sobą i swoją garderobą. Warszawa międzywojenna pełna była bowiem pięknych i eleganckich kobiet. A Hanka cały swój dobytek miała w jednej walizce! Nie uformował się jeszcze jej gust i słynny

później styl. Ale dajmy jej trochę czasu – na razie jest taka młoda i taka zakochana...

Miraż prosperuje znakomicie. Hanka ma pełne ręce roboty i czasem przychylnie wzmianki w gazetach. Jest świetnie. Ale zawsze, kiedy jest dobrze, należy wykazać czujność... Boczkowski (były medyk) ma coraz większy apetyt. W pewnym momencie pozostawia kierownictwo Mirażu Włastowi i Sewerynowi Majde, a sam poświęca się tworzeniu nowego teatru. W gmachu, przy ulicy Senatorskiej 29, którego właścicielem jest niejaki Maxymilian Luxemburg, znajduje budynek... Chociaż pada wiele krytycznych uwag, Boczkowski już wie, że to jest to. Oszczędzając czytelnikowi wielu nieprzyjemnych szczegółów związanych z przebudową można tylko wspomnieć, że na koniec wynikł problem z akustyką – „ustawione na linoleum pianino wydawało tony głuche i martwe, to samo powtórzyło się na deskach wysmarowanych smołą, jeszcze gorzej wypada próba z plandeką, a na kaflach to już zupełna tragedia.” Przy każdym następnym projekcie tony są martwe. Wreszcie młody architekt Sobocki, który niedawno skończył studia w Paryżu i pracuje od początku przy budowie teatru, wpada na pomysł, zaiste niezwykły – akustyczną podłogę w tych warunkach najlepiej uzyskać kładąc deski na pustych butelkach od szampana! Boczkowski zamawia w składzie win pięć skrzynek Clicot. Z konsumpcją płynu nie ma problemu – jest to kwestia dosłownie kilku szampańskich nocy w doborowym towarzystwie – Jaracz, Węgrzyn, Grabowski...

Następnego dnia, wsparta na sześćdziesięciu butelkach szampana podłoga dla orkiestry jest idealna akustycznie! Program otwarcia jest prawie w całości pióra Tuwima, Boczkowski kompletuje znakomitych aktorów. Niestety pomija partnerkę Hanusza – Ordonkę. Rozpoczyna się szeroka kampania w prasie i na ulicach, a pieniądze topnieją jak przysłowiowy lód. W ostatniej chwili zwracają się o pożyczkę do Majdego – dyr. administracyjnego Mirażu... i o dziwo,

uzyskują potrzebny grosz. Wszystko udaje się znakomicie. Qui Pro Quo odnosi pierwszy sukces! Oczywiście po premierze bankiet, który urządza Maxymilian Luxemburg z małżonką. Spotykamy tam czołowych artystów polskich scen, krytycy, koledzy ze Sfinksa i Mirażu. Jest tam zaproszona i nasza Haneczka. Przemowy, toasty, wiwaty...

„W listopadzie 1919 roku – w rocznicę odzyskania niepodległości – w kołach teatralnych stolicy powstał projekt wielkiej imprezy teatralnej na rzecz funduszu Gwiazdka dla Żołnierzy. Zawiązano komitet złożony z dyrektorów teatrów, dziennikarzy i oczywiście wielkiej liczby działaczek społecznych. W planach było urządzenie dwóch wielkich widowisk w salach Hotelu Bristol i Europejskiego. Występ na cel patriotyczny był wyróżnieniem, swój udział zgłosiły zatem wszystkie sławy operetki warszawskiej i aktorzy rewiowi. Od takich nazwisk aż kręciło się w głowie: Lucyna Messal, Józef Redo, piękna Kawecka, Cwiklińska, Mary Mrozińska, Hanusz...”

Haneczka, która w owym czasie grała tzw. ogony w Mirażu, nie została zaproszona. Pochlipuje więc bez przerwy. Hanusz, mając miękkie serce zgadza się wystąpić z nią w duecie, pod tytułem Destineč. Próby odbywają się w domu Bajkowskiej, która zresztą jest autorką słów. Obie nie śpią po nocach obmyślając kostium, od którego przecież zależy być może dalsza przyszłość Ordonki (przynajmniej ona tak to sobie wyobraża). Raz po raz wpada w histerię... W końcu wybiera, długą, kremową suknię, biały kapelusz z rajerami, nieco biżuterii i... wachlarz. Wszystkie gwiazdy wystąpią w swoich popisowych rolach, jedynie Destineč to coś nowego. Tym większa trema.

„Odnoszą sukces – Hanusz we fraku z chryzantemą w butonierce i ona – Haneczka można powiedzieć zjawiskowo śliczna w gustownej kreacji. Julicz, który siedzi na widowni, nie może odżałować, że nie poznał się na urodzie tej małej

Pietruszyńskiej. Postanawia nazajutrz zaprosić ją na kolację.” – wspomina T. Wittlin.

Chociaż sytuacja Sfinksa nie była najlepsza (większość artystów przeniosła się do Mirażu i Qui Pro Quo) jego kierownictwo zapragnęło przygotować zupełnie coś innego – śpiewno-muzyczno-taneczną satyrę z mnóstwem politycznych aluzji. Akcja dzieje się nie w Warszawie, ale na Księżycu. Główną obsadę będą stanowić: Adam Rapacki, Zofia Poraj-Ciesielska i Hanka Ordonówna. Hanka żegna się z Mirażem bez żalu (ogony!) i wraca do Sfinksa. Zespół odnosi sukces i satyra „Na Księżycu” idzie w kompletach przez dwa miesiące. Wreszcie coś zaczyna się dziać, zmieniać się na lepsze. Życie toczy się w oszalałym pędzie. W garderobie zawsze harmider i zamieszanie. Och! Jak Hanka to uwielbia, bo wreszcie jest tego częścią!

Podczas któregoś z prób w Sfinksie wszedł Julicz powiewając białą kopertą. Okazało się, że amerykańska linia okrętowa Transatlantic White Star upatrzyła sobie lokal Sfinksa jako siedzibę swego biura i pragnie go wykupić. A to heca! „Zrobimy im kawał” – mówi Julicz. Jan Brzechwa, pseudo artystyczne Szer-Szeń, trudniący się na co dzień adwokaturą, siada razem z nim i postanawiają „walnąć” odpowiedź wujaszкови z Ameryki. Piszą więc, że dyrekcja Sfinksa zasadniczo gotowa jest odstąpić swoją siedzibę za... i tu podają horrendalnie wysoką cenę, ponadto personel powinien dostać odszkodowanie za zerwane kontrakty itd... przy tym pękają ze śmiechu! Zdają sobie sprawę, iż tylko wariat może przyjąć podobne warunki. Nawet najbliższej rewii zamierzają nadać tytuł „Wujaszek z Ameryki” – to dopiero będzie reklama!

Niestety, rzeczywistość czasem przekracza nawet granice satyry! Nadchodzi list z kompanii morskiej... Amerykanie przyjęli warunki umowy i wypłacą żadaną sumę, chociażby natychmiast! Julicz mówi grobowym głosem: „Proszę pań-

stwa, mam dla was tragiczną wiadomość – zostaliśmy wszyscy bardzo bogaci!” Sfinks przestaje istnieć...

Hanka opowiada Bajkosi co się stało. „Co beczysz pipciu marynowana – odpowiada tamta wesoło. – Bierz forse i jedź do jakiegoś pensjonatu odzipnąć, bo wyglądasz, że żal na ciebie patrzeć, a potem zaangażujesz się z powrotem do Mirażu!” Ta to ma odpowiedź na każdą okazję! Niemniej jednak Ordonka postępuje zgodnie z jej radą. Wyjeżdża do Świdra, gdyż kaszle po nocach i na jakiś czas zapomina o występach.

A Warszawa bawi się dalej. Qui Pro Quo zachwyca stolicę widowiskami pióra Tuwima i Słonimskiego. Do zespołu Boczkowski ściąga Ratolda i Gierasińskiego, a finansista teatrzyku, dzisiaj powiedzielibyśmy sponsor – Leszek Przyłuski, niezwykle do tego przystojny, daje się porwać urokowi sceny i zostaje aktorem, pod pseudonimem Lech Owron. „Czasem reżyseruje Jaracz. Podobno czego się dotknie to majstersztyk, dlatego ma ksywę Majster” – pisze Wittlin.

W ogródku Bagatela Boczkowski wypatruje niejaką Zofię Pogorzelską. Niewielka brunetka z okrągłą buzią, miłym uśmiechem i oczami tryskającymi humorem. Wielkiego głosu nie ma, ale jako Zula później podbija publiczność urodą, legendarnymi nogami i oszałamiającą radością życia. Podobnie, na innej estradzie, w Dolinie Szwajcarskiej przy Chopina wypatruje Boczkowski niezłe prezentującego się śpiewaka i tancerza – to znana później postać – Eugeniusz Bodo. Qui Pro Quo narzuca nowy styl, ale Miraż też nie kapituluje – zatrudnia nowe siły: Mirę Zimińską, Leona Wyrwicza, no i Ordonkę, która wraca po wypoczynku w pensjonacie. Bajkosia miała rację, jak zwykle. Pojedynek teatrzyków trwa, a publiczność bawi się doskonale...

Kiedyś nocą, kiedy kabarety opustoszały, w Mirażu wybuchł pożar od porzuconego papierosa. Posesja spalona, przedstawienia trzeba odwołać! I pomimo, że obrotny Majde znalazł niemal natychmiast lokal zastępczy po dawnej re-

stauracji Renaissance i pomimo tego, że prawie natychmiast po tym nieszczęściu Miraż otworzył podwoje, zabobonni ludzie teatru (a trzeba przyznać, że oni, jak żadni, potrafią wierzyć w „te” rzeczy) uważali, że nad Mirażem ciąży klątwa i niestety sprawdziło się to z fatalistyczną dokładnością... nowy program robi klapę, następny również. Niewiadomo dlaczego publika nie chciała przychodzić do Sali po starej restauracji. Coś w tym jest. Seweryn Majde (trzeba przyznać ogólnie lubiany w świecie teatru) przechodzi do Qui Pro Quo i zostaje tam kierownikiem administracyjnym. Za nim podąża kilkoro innych aktorów. Hanka pominięta w tym gronie nie roni łez, albowiem dostała świetną propozycję ze Lwowa, która gwarantuje jej dobrą gażę i czołowe role. „Kiedy jest zbyt dobrze należy zacząć się martwić” – bredzi stara cyganka... Faktycznie, wszystko nie wygląda tak różowo – hotel podłej kategorii, a zespół to zbieranina artystów z zapadłych prowincji. Co tam dużo mówić!

Ale przecież trzeba dalej jakoś żyć i zarabiać, zostawmy Hankę zatem na chwilę, niech sobie radzi sama... Wróci do stolicy dopiero po dwóch latach włóczęgi – Lwów, Kraków, Wilno...

Cóż za rozkosz być znowu u siebie! Bajkowska opowiada najnowsze plotki, potem przychodzi kolej na Haneczkę. Bakosia przygląda się jej jakoś dziwnie... warto przytoczyć tę rozmowę.

„– Coś nie w porządku? – pyta Hanka.

– Nawet bardzo cipciu kochana – nie przebiera w słowach pani B. – aż strach patrzeć co się z ciebie zrobiło.

– Co takiego? – jąka Ordonówna.

– To, że jak opowiadasz o tym całym twoim zafajdanym powodzeniu, to potwornie się wygłupiasz, stroisz miny, krygujesz się, wymachujesz rękami przed nosem, przewracasz

oczami, cedzisz słówka, ściągasz usta w kurzą dupkę, i w ogóle robisz z siebie ostatnią kretynkę – wyjaśnia Bajkowska – poznać cię nie mogę, kapelusz też masz niemodny i nosisz go jakoś tak pretensjonalnie, zupełnie nie na Warszawę, tylko Pipidówkę.

Hanka jest przerażona.

– To co mam robić? – pyta.

Bajkowska w tym momencie postanawia wziąć sprawy w swoje ręce.

„– Z miejsca widać, że grałaś na prowincji, zmanierowałaś się do niemożliwości. Najpierw musisz odzwyczaić się od tego, inaczej nikt się nie zaangażuje i skompromitujesz się z kretesem.”

Od jutra mają zabrać się do roboty. Pani B. nie rzucała słów na wiatr... idzie ciężko, nierzadko Hanka po kilku godzinach osuwa się na kanapę z płaczem, bo Bajkosia nie szczędzi jej soczystych epitetów. Mimo wszystko wysiłek opłaca się i po kilku tygodniach ciężkiej pracy i żelaznej dyscypliny obie panie przychodzą na rozmowę do Stańczyka, niedawno powstałego kabaretu politycznej satyry. Historia powtarza się. Popis Haneczki to tylko formalność – Bajkowskiej się nie odmawia, a poza tym obaj panowie – Kończyc i Jatrzębiec – pamiętają Hanę z „Rewii na Księżycu” oraz z występów z Hanuszem. Tym razem ma wystąpić z przystojnym brunetem Olszą z Tanga Argentino i zadebiutować w nastrojowej piosence Biedna Colombina. Wydawać się może, że wszystko idzie dobrze. Niestety o współpracy z Olszą nie ma co marzyć. Zabójczy brunecik jest niedostępny, na próbach tylko markuje taniec – ma swoje zamiary. I staje się... orkiestra rozpoczyna, Olsza wybiega na scenę i wykonuje swój własny taniec niewiele wspólnego mający z ułożoną wcześniej choreografią. Podły!

Pisze Tadeusz Wittlin: „Ordonówna spieszy za nim, ale on ją wyraźnie ignoruje. W teatralnym narzeczu nazywa się to – utłuc partnera. Hanka nie ma wyboru, tylko solowy wy-

stęp na przeciwnym krańcu estrady.” Szczęściem tańczy żywiołowo i zbiera rześiste oklaski. Gdy oboje schodzą ze sceny, Olsza błądy ze złości, syczy przez zęby: „Idiotka skończona!” Ordonka płacze w garderobie. W drugiej części ma wykonać ową Biedną Colombine, przygaszona poprzednią przykrością, z obawy, że głos jej się załamie i spadnie z tonu, zamiast śpiewać melorecytuje, a refren odtwarza wysokim, prawie dzieciennym głosem. Wywołuje to niesłychane wrażenie...

W poszukiwaniu nowych dróg politycznej satyry Stańczyk posuwa się do wulgarności, poziom tekstów jest nierówny, piosenki nierzadko ordynarne, coś się zaczyna psuć. Teksty futurystycznych poetów – Anatola Sterna, Bruno Jasińskiego i Aleksandra Watta trafiają w próżnię. Trywialny humor i futuryzm spowodowały, że Stańczyk przestaje być atrakcją stolicy. W tym czasie Haneczka przeżywa zawód miłosny – otóż Sarnecki, którego spotkała po przerwie w Teatrze na Pohulance, gdzie reżyserował i gdzie odżyło ich dawne uczucie, ożenił się z inną... Ordonka usiłuje popełnić samobójstwo. Odratowano ją, ale depresja nie mija. Dopiero po kilku miesiącach może wrócić do pracy. Nieoceniona Bajkowska utyskując na cały ród męski (choć sama jest po niedawnym romansie z pewnym aktorem) pilnuje Hanki całymi dniami i nocami, aby ta nie powtórzyła desperackiego kroku – postanawia zawalczyć i prosi Boczkowskiego, aby ten przyszedł na przedstawienie do Stańczyka. Nie jest to łatwe, gdyż przedstawienia tam zaczynają się o północy i trwają do trzeciej nad ranem – co powiedzieć żonie? W końcu jakoś udaje się zaskoczyć panią Boczkowską w Qui Pro Quo i taksówką przewieźć do Stańczyka. Bajkowskiej nie wypadło odmówić... Opłaciło się!

Nazajutrz w podziemiach Galerii Luksemburga Ordonka podpisuje kontrakt i słyszy, że zagra w następnym programie. Jej szczęście nie ma granic! Jest 1922 r., ona ma 19 lat i

oto rozpoczyna występy w słynnym Kabarecie. Szczyt to marzeń każdego rewiewego artysty!

Zajrzyjmy na chwilę do Ziemiańskiej... jej półpiętro stało się już sławne. Skamandryci okupowali stolik, a właściwie stół, który był przedmiotem zachwyty dla jednych i przedmiotem zawiści dla innych. Lechoń pełnił tam surową straż. Sam „niezwykle inteligentny, złośliwy, namiętny plotkarz – jak pisze Krzywicka – nie uchylający się dla efektu od oczerzniania innych, nie był sympatyczny, ale fascynujący w rozmowie.” Ciekawostką jest, czego nie wiedziałam, że „z niezwykłą umiejętnością nabierał innych na nigdy nie oddawane pożyczki” – ot, mała słabostka wielkiego poety... wkrótce zresztą wyjechał na placówkę dyplomatyczną, a królowanie przy stoliku zajął Antoni Słonimski...

Plotkuje się o najnowszych wydarzeniach artystycznych, Boy-Żeleński opowiada o kabarecie Niebieski Ptak, który właśnie zjechał do stolicy i który robi furorę, bilety na cały tydzień są wykupione... bo i wydarzenie to znaczące. Dyrektorem tego literackiego kabaretu rosyjskich emigrantów jest Iwan Juźny – wysoki, postawny i idealnie łysy. Pierwsze recenzje z występu są entuzjastyczne – a to, że teatrzyk jest „wysoce artystyczny, czarujący, oryginalny, pełen prostoty, ekspresji, lekki, swobodny, wypracowany do najmniejszego gestu, dający widzom radość” – to Boy, trudno o większą pochwałę... Wiktor Chenkim wykonujący słynne „Dzwony wieczorne” przyprowadził o łezkę... a „Pieśń o Wołdze” w wykonaniu aktorów jako bosych, zamęczonych burlaków stąpających brzegiem rzeki w zaprzęgu potężnej barki – po prostu obezwładniało artyzmem. Ale... jest jeden, który obezwładni później Haneczkę. To on, konferansjer, który zapowiada numery po francusku, z dyskretnym humorem, stwarzając od pierwszej chwili nutę sympatii pomiędzy estradą i publicznością

ścią. To on – Jarosy – wielka miłość Ordonki. Jeszcze o tym nie wiedzą, ale Przeznaczenie nieuchronnie pcha ich ku sobie. On – brunet, Węgier, o regularnych rysach twarzy, czarnych płomiennych oczach i ujmującym uśmiechu, płynnie włada kilkoma językami, lecz nie po polsku. Programy prowadzi po francusku, zdobywając uznanie głównie Boya, najlepszego w Polsce romanisty. Pozostaje mu jednak jak najszybsza nauka języka polskiego i to na kilkanaście godzin przed premierą drugiego programu... przez całą noc wraz ze Słonimskim uczy się w Hotelu Bristol wymowy wspomagając się czarną kawą i koniakiem. Nad ranem ma całą rolę niemal opanowaną. Drugi program Niebieskiego Ptaka jest równie dobry jak pierwszy. „Silne wzruszenia ogarniają wszystkich na widok obrazu „Wszędzie jest życie” – gdy na warszawskiej scenie teatrzyk rosyjskich emigrantów ukazuje zesłańców wywożonych na Syberię w towarowym wagonie o zakratowanych oknach (!)”... nie mogło być inaczej.

„I zdarza się coś niebywałego – zachwycony Boczkowski prosi o występ Niebieskiego Ptaka tylko dla polskich artystów – dla zespołu Qui Pro Quo. To rzadkość w aktorskich kołach na całym świecie...”

Potem jest oczywiście wielki bankiet z udziałem obu zespołów. Przy długim stole (mówią, że nie zbiegiem okoliczności) Jarosy siedzi obok Haneczki i bawi ją długą rozmową... letnia noc, zasnuwająca się bladą mgłą świtu zastaje ich przy tej „rozmowie”... Widocznie tak musiało być. Przez następne dwa miesiące Jarosy „nauczał się” mówić po polsku do tego stopnia, że mógł prowadzić konwersację, nie tylko na scenie. Czego nie potrafił po polsku dorzucał po rosyjsku, resztę dopowiadał uśmiechem, gestem, spojrzeniem. Hance to wystarczyło. Była nim oczarowana, jak nigdy, żadnym mężczyzną do tej pory. Jest zakochana, jest odurzona... od tej pory spotyka się z nim każdego wieczora. I kiedy Niebieski Ptak daje ostatnie przedstawienie w stolicy

przed wyjazdem do Paryża – odjeżdżają bez Jarosego, który ponoć tak pokochał Warszawę, że zostaje...

W sferach artystycznych plotkuje się (bez zawiści), że nie zakochał się w Kolumnie Zygmunta, ani w Moście Kierbiedzia, ale w Ordonównie przecież... jest w tym cień dumy warszawiaków.

Cieszy się i Boczkowski, który natychmiast podpisuje kontrakt z Jarosym, a ten przenosi się z Bristolu na Nowy Świat do pensjonatu – a wraz z nim Hanka – jako jego żona. Ten mariaż jest przyjęty w środowisku teatralnym spokojnie, gdyż przedtem Konrad Tom i Zula Pogorzelska żyją ze sobą jak małżeństwo, chociaż nigdy się nie pobrali (w mieszczańskim znaczeniu tego słowa). O ile zresztą oni mogliby wziąć ślub, to w przypadku Jarosego jest to sprawa bardziej skomplikowana – jest żonaty z niejaką Olgą Czechową – aktorką, grywającą w niemieckich filmach, która nie chce mu dać rozwodu, gdyż ma z nim dwoje dzieci. Rodzeństwo pozostaje w Wiedniu pod opieką pewnej wdowy. Fryderyk bardzo kocha swojego synka i córeczkę, na razie posyła im pieniądze na utrzymanie, a na biurku stoją w ramach ich fotografie...

Jarosy starszy od Haneczki o 12 lat, jest przystojny i jest świetnym aktorem, erudytą, lingwistą, reżyserem, wreszcie światowcem o nienagannych manierach – czegoż chcieć więcej. W Warszawie natychmiast staje się ośrodkiem zainteresowania – przez Tuwima i Słonimskiego, z którymi już jest po imieniu, poznaje redaktora tygodnika Wiadomości Literackich Grydzewskiego oraz wszystkich poetów Skamandra, siłą rzeczy również ich przyjaciół z pułkownikiem Wieniawą-Długoszewskim na czele.

W Qui Pro Quo bardzo się z nim liczą, zajmuje tam czołową pozycję, zabiera głos w sprawach układu programów i reżyserii. Przy tym, jako dobry dyplomata stara się nie urazić Konrada Toma, który uważa się za znawcę artystycznego kabaretu. Tylko jeśli chodzi o Hankę, jest stanowczy.

„Umie walczyć o swoją Haneckę...” a ona, ona odwzajemnia jego zainteresowanie nawet już nie miłością, ale uwielbieniem dewotki. Teraz romans z Sarneckim wydaje się taki głupi i nieważny...” – pisze Tadeusz Wittlin w swojej książce. Ja zupełnie się z tym zgadzam. W życiu kobiety tak już jest, że każda następna miłość unieważnia to, co było kiedyś, sprowadza do mało znaczących, niepotrzebnych epizodów. I dobrze. Inaczej przecież nie dałoby się żyć!

Na razie Jarosy uczy Hankę sztuki teatralnej, zupełnie od nowa, jak gdyby nigdy dotąd nie była na scenie. Zostawmy ich na chwilę...

Zanim wystąpią na otwarciu sezonu Qui Pro Quo jako Rewia Numer Jeden. W tejże rewii Jarosy nie faworyzuje Hanki, występuje ona w jakiejś nieważnej piosence, bo on, jako dobry dyplomata wie, że łatwo jest się pośliznąć, a nieprzychylnie dwa zdania w prasie... Hanka na razie jest uczennicą. I niech tak zostanie.

Nie jest to ostatnia miłość w życiu Hanki. Tak jak i w życiu Jarosego. Ich losy splotły się na jakiś czas...

Oboje mają dla siebie wiele serdeczności, ale ich dawna miłość jest przeszłością. Ordonka jednak, jak to kobieta, nie może w głębi duszy wybaczyć, że się jej kochany Fryc tak zapomniał się z tą małą Górską. I mimo wszystko usiłuje dowieść Hance, że błyskotliwą karierę Ordonka zawdzięcza jemu i tylko jemu – on potrafi uczynić z każdej aktorki gwiazdę, głośno o tym opowiada i lansuje Stefcie. O Haneccze zapomnieć jednak nie może, a i ona cierpi. Podwójnie, bo nadal nie jest jej obojętny, a poza tym czuje się upokorzona porzuceniem, w końcu dla młodszej koleżanki. Okropność!!

Stara się zachowywać pozory doskonałego humoru, pokazuje się przez jakiś czas z pięknym Gruzinem, ale to nie to... wie o tym ona sama – gorzej – wie o tym całe miasto... Na szczęście przychodzi propozycja występów w Paryżu, Berlinie i Wiedniu. Można oszaleć z radości!!!

Jakiś czas później powrót i rewia „Pamiętaj o mnie”. Hanka śpiewa „Trudno, gdy człowiek zakochany, to chodzi jak pijany...” Sukces! Potem bankiet w Bristolu na kilkaset osób, a Boy-Zeleński odczytuje specjalnie na tę okoliczność napisany piękny esej. Gratulacje, wiwaty.

Hanka z krótko ostrzyżoną blond fryzurą, w balowej sukni z różowych i błękitnych koralików wygląda młodo i ślicznie. Siedzi obok Miry Zimińskiej i Tuwima. Nieopodal żona dyr. Boczkowskiego i pułkownik Wieniawa-Długoszowski. Czegóż chceć więcej?

Ale nadchodzi czas Michała Tyszkiewicza – tego od Uliczki w Barcelonie. Chwilowo występował pod inicjałami jakiegoś MT, nikomu nieznanego bliżej autora tekstu. Jedynie Boczkowski wie, że MT to Michał hrabia Tyszkiewicz. Resztę już znacie. Miłość...

W 1931 roku ich ślub w kościele Świętego Krzyża – Hanka na biało z kwiatem pomarańczy we włosach – z rodziny panny młodej jest tylko matka Helena Pietruszyńska, ojciec zmarł przed rokiem... ze strony Michała kuzyn Stefan Tyszkiewicz. Reszta rodziny udała, że nie ma imprezy, czy coś w tym stylu. Zjawili się kilku przyjaciół Hanki – Dymsza, jest oczywiście Wieniawa i paru innych – bez nich nie byłoby dobrej zabawy. Para młoda po śniadaniu udała się do majątku rodzinnego Michała – Orniany. Jego rodzina akurat bawiła we Francji, a może gdzie indziej, byle tylko nie być zmuszonym do powitania tej „aktoreczki” z góry upatrzonej na rodziną „czarną owcę”.

Życie jednak toczy się dalej, zwłaszcza za kulisami. Oto Jarosy wyjeżdża za granicę – postanowił pokazać trochę świata Stefcii Górskiej (jak ongiś Hance), a tutaj piękny Igo Sym elektryzuje żeńską i nie tylko, część stolicy. Hanka jest szczęśliwa ze swoim Misiem, ale jak mówi stara cyganka Maria: „Kiedy jest dobrze zacznij się martwić.”

Próby, premiery, oklaski, wieczorem kolacja w Adrii – wszyscy siadają przy zsuniętych stolikach i plotkują – a jest

o czym. „Jarosy rozszedł się ze Stefcia Górską i jest z Zosią Terne, ale mieszkają osobno. Piękna Stefcia szybko pocieszyła się niejakim „Lową” – pianistą, który kiedyś akompaniował Hance w Wilnie, a teraz pracuje w Cyruliku. Konrad Tom również dość szybko znalazł ukojenie po śmierci Zuli Pogorzelskiej i jest z Basią Gilewską. Norblin rozszedł się z Marią Modzelewską, która odbiła Zimińskiej Hemara i wydała się za niego za męża.” Uff! To jeszcze nie koniec... „Jeszcze nie ucichły echa awantury, którą Zosia Olechnowicz – żona Dymszy urządziła w garderobie w Bydgoszczy, gdzie król dowcipu był z rewią i gdzie podobno zaczął „szuru-buru” ze swoją partnerką. Małżonka wsiadła w pociąg i pofatygowała się do Bydgoszczy, gdzie „sprąta małpę parasolką, aż wióry leciały, a i Dodkowi też się niewąsko dostało”, a już plotkują o Marysi Malickiej, która też parasolką potraktowała Lidię Wysocką... poszło o mężczyznę – żeby nie było niejasności”.

W 1938 roku Haneczka otrzymuje list z Ameryki – jest to zaproszenie na kilka koncertów dla Polonii w kilkunastu miastach. Artystka zgadza się z ochotą – jest już po epizodzie z Osterwą, po plotkach o romansie z Igo Symem. Owszem, jej popularność nie maleje, dalej porywa tłumy, ale sama wie, że w końcu nie jest skończoną pięknnością, a i głosu wielkiego też nie ma.

A tu proszę – Tola Mankiewicz (zanim przeszła do operetki i filmu była śpiewaczką Opery Teatru Wielkiego) głos ma słowiczy i jest skończoną pięknnością, dalej dowcipna i inteligentna Mira Zimińska, baletnice – Zizi i Loda Halama podbijają publiczność, przykłady można mnożyć. Może zresztą bez potrzeby – Hanka potrafi „kilkoma krokami i wzniesieniem ramion urzec bardziej niż primabalerina w tańcu klasycznym.” Ale jednak chce wyjechać, może pragnie odmiany, a może coś popsulo się między nią a Misiem? Swoją drogą cierpliwe chłopisko!

Na statku Ordonka otrzymuje najlepszą kabinę, a przy obiedzie zasiada po prawicy dowódcy statku, a po swojej lewej ręce ma pierwszego porucznika Jana Strzębosza – „szatyna o romantycznych oczach”... wygląda jednym słowem zabójczo. Na wytornym dancingu w Stork Clubie w Nowym Jorku Haneczka przetańczyła z nim całą noc...

Zbliża się 1939 rok. Wszystko się zmienia i plany, i zamierzenia. Nic już nie będzie takie samo. „Jeźdźcy Apokalipsy już siodłali swoje upiorne rumaki.” Lilka Pwlikowska-Jasnorzewska miotła się między Juratą i Warszawą, trzepotała jak ptak przed burzą...

W Ziemiańskiej też pusto, wszyscy rozpierzchli się w różne strony. Jeszcze jest tylko Igo Sym, który właśnie wrócił z Berlina i zaproponował większą popijawę w gronie starych znajomych. Po kilku głębszych podobno przeklinał Hitlera i opowiadał antyhitlerowskie dowcipy!

„Wrzesień 1939 zmienił (pisze Marek Groński) przekonanych o własnej wielkości gwiazdorów w nowicjuszy i bezradnych debiutantów.” I dalej „...Do tej pory nie uważali polityki za domownika, zostawała na progu. Teraz ten domownik stawiał warunki, wtrącał do rozmów, odbierał oszczędności, rekwirował mieszkania”.

Kto mógł przypuszczać, że piękniś Igo Sym, amant filmowy, był od dawna niemieckim szpiegiem, że zmieni później garnitur w mundur i jako intendent warszawskich teatrów będzie nakłaniał do współpracy z teatrykami grającymi w okupowanym mieście. Jego argumenty przekonywały tych, którzy chcieli być przekonani i woleli grać, a nie kelnerować w kawiarniach... Thater der Stadt Warschau – imperium Igo Symy...

Ale o tym kiedy indziej, może powstanie jakiś inny cykl wieczorów czwartkowych opisujących te dzieje, nie zawsze pochlebne, bo trzeba pamiętać, że wielkie kataklizmy wyzwalają w ludziach wielkie emocje zarówno te dobre, jak i złe, a o tych ostatnich tak bardzo chce się zapomnieć.

Dosyć! Koniec wieczoru. Niechętna publiczność ogląda się za ramię – a może coś jeszcze? Znam to uczucie niedosytu, ale nic z tego.

Dopiero tam, na zapleczu, w małym saloniku, przy starym stole z rzeźbionymi nogami rozsiadamy się wygodnie – my wszyscy – Jola, ja, Daniel, zespół upycha w kącie instrumenty. Odsuwamy na brzeg stołu książki i robimy miejsce na pozostałą po gościach ostatnią butelkę szampana. Tu wieczór naprawdę będzie miał swój koniec.

To tutaj ktoś przypomni, że Igo Sym doczekał sprawiedliwego końca – w marcu 1941 r. żołnierze podziemia wykonali na nim wyrok. Jego śmierć umożliwiła Jarosy'emu opuszczenie getta, gdzie ukrywał się od dłuższego czasu. Przeszedł na aryjską stronę jako Franek Nowaczek i włączył się do działalności konspiracyjnej. Po upadku Powstania nadal nierozpoznany trafił do Buchenwaldu – ale przeżył. O dziwo, dopiero w Londynie opuściło go szczęście. Poznał oschłość serc przyjaciół...

Hanka, no cóż, i jej nie ominęły Konie Apokalipsy, nie chciała grać w Imperium Syma. Zachowała się identycznie jak Jarosy, który nie chciał swoim nazwiskiem firmować dozwolonej przez okupantów rozrywki. „Po stanowczej odmowie pojawiła się propozycja współpracy niejawnej – informowanie o rodzącym się Państwie Podziemnym” – pisze Groński. Jarosy przebywa w więzieniu na Daniłowiczowskiej, kiedy przedstawiono mu tę wątpliwą ofertę, ale on postanowił wygrać tę partię. Wy tłumaczył gestapowcom, że musi być wiarygodny. Któż uwierzy, że ot tak, po prostu znalazł się na wolności. Dlatego najpierw stanie przed sądem, a zaraz po wyroku ucieknie. Zupełnie jak w filmie sensacyjnym!” Tak też się stało, kiedy po ogłoszeniu wyroku wieziono go na Szucha, Jarosy po prostu poprosił konwojen-

tów o zatrzymanie przed Europejskim: „musi się ostrzec, gdyż po pobycie w celi wygląda jak dziad lirnik.” Strażnicy zostali w samochodzie. „Więzień wszedł do salonu fryzjerskiego i wyszedł drugim wyjściem...” Zupełnie jak w filmie sensacyjnym, tyle, że kiepskim... a jednak udało się! „...po chwili był w bezpiecznej kryjówce swojej aktualnej flamy.”

Potem stał się dobrowolnym mieszkańcem getta.

Hankę aresztowano 1.XI.1939 r. Można było przypuszczać, że stał za tym piękny Igo. Liczył pewnie, że pieśniarka zmięknie w celi. Były kochanek hrabiny miał wobec niej swoje plany... ale do niej nie trafiały żadne argumenty. Siedziała na Pawiaku i podupadła na zdrowiu. Na szczęście jej mąż okazał się pomocny wykorzystując rodzinne koneksje z dworem królewskim we Włoszech Ordonkę uwolniono i pozwolono jej wyjechać do Wilna. Zaczęła występować w Teatrze na Pohulance. I tu zaskakujący fragment z książki Grońskiego: „Ikona Dwudziestolecie nie chciała powielać sukcesów jako interpretatorka przebojów. Wołała teatr. Jerzy Wittlin, autor Pieśniarki Warszawy – grubej książki ociekającej wazeliną – pisze o jej rolach teatralnych pochlebnie. Łatwo mu przyszło, bo ich nie oglądał. Za to świadek naoczny – Ludwik Sempoliński grymasi i wybrzydza. I pewnie to on ma rację”. No cóż, widać nawet Ikonom nie jest łatwo. Ale zerknijmy jeszcze raz w historyczną zamieć – Armia Czerwona zajmuje Wilno – hrabia Tyszkiewicz siedzi na Łubiance, Ordonki chwilowo nie ruszają „aktrisa, piewica – nie ma pośpiechu”. Piewica tymczasem popada w depresję, przestaje ją interesować teatr, a śpiewanie pozostawia młodszemu – Marcie Mirskiej i Marii Żejmo.

„Była wiosna 1941 r. członkowie komisji z Moskwy mieli za zadanie wyszukiwać talenty”, które po oszlifowaniu ideowo zaczęły koncertować najpierw w stolicy, później w terenie. Wytypowano na wyjazd Marię Żejmo, Igora Śmiałowskiego i hrabinę, która zdecydowała się włączyć do gry. Wystąpiła przed moskiewską publicznością, potem przyłą-

czyła do chałturniczego Zespołu Polskiej Pieśni i Tańca. Według relacji uczestnika tras koncertowych, „w jej artystycznej wółczędze kołchoźnicy, półanalfabeci, oklaskiwali ją tak samo gorąca jak publiczność Qui Pro Quo.”

Przynajmniej to była pociecha, bo wielu zastanawiało się – dlaczego zdecydowała się śpiewać. Dlaczego nie zachowała się tak jak na Pawiaku? „Wersja oficjalno-legendarna stawia Hankę w szeregu Polek z Grottgera, składających siebie w ofierze” – pisze Groński, ale przecież każdy wie, że żeby żyć, trzeba przeżyć. Ona zdawała sobie sprawę z tego, że nie można dać się zepchnąć w anonimowość. „Poza tym – przytomnie sugeruje Groński – status artystki zapewniał przywilej przemieszczania się z miejsca na miejsce. Wtedy ruch był nadzieją, a oklaski widowni – jakiegokolwiek by nie były oddalały chwile załamań i depresji. To już wiedzą wszyscy artyści niezależnie od epoki dziejowej...”

To przemieszczanie się z „miejsca na miejsce” było rzeczą naprawdę niebagatelną, bo kiedy Ordonka spotkała się z zarządzającym Łubianką enkawudzistą pytając o męża ten powiedział zafrasowany, że „grażdanina Tyszkiewicza nie ma w jego przechowalni.” A na pytanie, gdzie jest, odpowiedział filozoficznie: „Cóż, kraj jest duży, zróżnicowany krajo-brazowo i klimatycznie...”

Zdaniem jednych Ordonka „widziała się z naczelnikiem powstrzymując obrzydzenie, nigdy też nie koncertowała w Moskwie, zawadiacko przygrywając na harmoszcze”, ale też niemożliwym jest w „trosce o mitotwórczą reputację” zamienić dramat w „serialową landrynę”.

Łatwo jest mówić tym, którzy tego nie przeżyli.

W Buzłuku w 1941 roku, gdzie wreszcie dotarła Ordonka, zaliczając po drodze pracę w chlewni, działali estradowcy i nie powitano tam sławnej koleżanki z otwartymi ramionami, o nie. Nie było dla niej miejsca, ani zapotrzebowania na jej sztukę. Jaki był prawdziwy powód? Pewnie mniej utalentowali poczuli się bardziej zagrożeni. Posypały się donosy

– a to, że kolaborowała, śpiewała w Moskwie, wysługiwała się czerwonym... Jak to w życiu.

Dalej to Aszchabad, gdzie jej mąż zajmował się pomocą dla polskich sierot. Ten fragment biografii jest ogólnie znany. „Pani już dziękujemy” zatytułował ten rozdział swoich dociekań pan R.M. Groński. Jakie trafione i jakie smutne – konkluduje Daniel. I wszystkim robi się coraz bardziej ciężko na duszy – bo i koniec wieczoru i zakończenie niezbyt wesołe – Haneczka tak jak i Jarosy dopiero wśród przyjaciół i znajomych poznała oschłość serc...

A my wszyscy zdążyliśmy się do naszych bohaterów przywiązać, polubić... zresztą przecież wszyscy oni gościli w naszym mieście – bo i Ordonka, Qui pro Quo, Eugeniusz Bodo, Mira Ziemińska, bajeczna Zula Pogorzelska z „Perskim Okiem”, że o Sempolińskim i występach Reduty nie wspomnę... zawsze przy pełnej widowni. – „Tylko na wieczorze autorskim Juliana Tuwima świeciło pustkami” – przypomina Jola. – Julek wybacz – wzdychamy we trójkę wznosząc ostatnią kroplę szampana.

W małym saloniku na tyłach Muzeum Historycznego życie dosłownie tętni – zupełnie jak w Qui Pro Quo przed premierą – myślę wspinając się po schodach. Już na dole słychać śmiechy dziewczęce – to pewnie modelki Wojciecha Bokłago de Bof – naszego przyjaciela i współtwórcy kilku wieczorów. Jak ja uwielbiam tę atmosferę – gorączka, nerwy, pierwsi goście...

– O czym dzisiaj? – starsza pani zagłąda do nas uchylając ciężkie, rzeźbione drzwi.

– Bodo, Eugeniusz Bodo, pani Janeczko – wołamy do niej z Jolą jednogłośnie.

– Bodo, element społecznie niebezpieczny – mówi przed siebie Andrzej Koziara, który wpadł zapalić papierosa przed spektaklem.

Jeszcze nie wiemy, że tak zatytułuje później artykuł, który ukaże się nazajutrz. Na razie czwartkowy wieczór zapowiadał się beztrosko jak uśmiech Eugeniusza Bodo... Rozchichotane modelki, dym z papierosa, brzęk kieliszków i szampana (dla gości), na talerzach piętrzyły się ciastka upieczone przez moją przyjaciółkę Marysię.

Ciasteczka były a lá Ritz – umownie, bo nikt nigdy nie dowiedział, że w Ritzu były podawane, ale skoro przepis był od pokoleń w rodzinie, to niewykluczone... czy Bodo był w Ritzu też niewiadomo. Że był w naszym mieście to wiadomo z całą pewnością i nawet nie miał najlepszych recenzji, prasa potraktowała go dość surowo, przygadując, że oprócz uśmiechu niewiele miał do zaoferowania. Nie zawiodły fanki, piszcząc histerycznie. Potem (też wiadomo) aktor zjadł kola-

cję w reprezentacyjnej kawiarni. Doszło nawet do ekscesów – otóż miłośniczki Brodzisza wybiły szyby w trakcie posiłku... Mam nadzieję, że jednak Eugeniuszowi Bodo kolacja smakowała.

Dochodzi osiemnasta. Czas zacząć nasze spotkanie...

Qui Pro Quo jest najlepszym w Europie satyryczno-literackim kabaretem. Aktorzy zżyci są ze sobą na scenie i poza nią. Tworzą się pary, kwitną miłości. Słynny dowcip Zuli Pogorzelskiej, że jest najmniej czytana aktorką, ponieważ wystarczy jej jeden tom... Konrad. Mira Zimińska – może nie odznaczająca się wybitną urodą, ale niesłychanie inteligentna i wybitnie dowcipna (mówią o niej Chaplin w spódnicy). Tuwim pisze swoje najlepsze teksty... Nowy nabytek Adolf Bagiński – krępy jegomość o dużej głowie, szerokich barach i krótkich nogach, późniejszy Adolf Dymśa – robi furorę. Warto poświęcić mu kilka słów, bo postać to niezwykle ciekawa. Ma ukończoną szkołę baletową, artystycznie wyżywa się jako filmowy artysta, a do tego z zapalem uprawia piłkę nożną w klubie Polonia. Majde, entuzjasta futbolu z miejsca angażuje go do Qui Pro Quo. Trzeba dodać, że przedtem widział go w akcji, w cukierni Zakopiańskiej, gdzie szalał jako wodzirej. „wykonując błyskawiczne piruety, rzucał z kamienną powagą i wymownym wzruszeniem krzaczastych brwi rozkazy tańczącym – panie w środeczku robią dookoła koszyczka, a panowie z przytupem przed siebie – co wywoływało eksplozję śmiechu i załamywanie kowrodo...” Był też zabójczy brunet Bodo...

Ach, Bodo! O jego zniewalającym uroku amanta i słynnym uśmiechu pisano wiele. O jego podbojach również. Uwiódł wiele kobiet, w tym najprawdziwszą piękność haitańską – Reri, z którą zagrał w melodramacie „Czarna perła” i którą później porzucił, bowiem kobiety go kochały, ale

on kochał tylko swoją matkę i może jeszcze wielkiego jak cieleń doga Sambę, którym podobno straszył mieszkańców stolicy. Arkady Fiedler w swoich podróżach dotarł po latach do owej Czarnej Perły, znalazł ją z nadwagą i uzależnieniem po równo od alkoholu jak i wspomnień po warszawskim romansie. Och życie, życie...

Inną namiętnością Eugeniusza były niepohamowane skłonności do robótek ręcznych – wyszywał makatki z koralikami. Obwieszał nimi mieszkanie i obdarowywał przyjaciół – chcieli, czy nie chcieli. Ale to już inna historia...

Bodo, syn Poli Doroty z Dylewski i Szwajcara Teodora Junod, zginął jak wielu Polaków, na początku drugiej wojny światowej. I dziwne, że ten na pół-Szwajcar miał śmierć bardzo polską, o którą Niemcy oskarżali Rosjan, a Rosjanie Niemców. W encyklopedii PWN z 1983 r. zapisane jest „zamordowany przez hitlerowców”, a w Encyklopedii Popularnej PWN z 1995 r. „zginął w 1941(4) w obozie w ZSRR. Zagadkę jego śmierci usiłował rozwikłać Stanisław Janicki, ale było tego coś ze dwadzieścia wersji... ślad, być może prawdziwy wiódł do łagru Kotłas w „archangielskiej obłasti”. Pewien lekarz z Radomia napisał: „W 1943 r. przybyłem na punkt przesyłkowy w Kotłasie, gdzie w szpitalu nr 5 zmarł trzy czy cztery dni później Bodo”.

Andrzej Koziara pisze w artykule z 1998 r.: „Na początku lat 90-tych ukazał się „Dziennik więźnia” pióra Alfreda Mirka, który podobno wymienił się z Bodo pamiątkami – on dostał kawałek podszewki płaszcza aktora, wyszywany koralikami, a jemu ofiarował woreczek do przechowywania chleba.” Profesor Mirek trafił do moskiewskiego więzienia, bo nie dość, że wykształcony, to jeszcze syn inteligenta, to wystarczyło enkawudzistom, żeby wsadzić do cerkwi przerebionej na więzienie Butryki, w którym czekało się na wysyłkę na Syberię. Mirek przed wojną był na koncercie Thea Jazz Henryka Warsa, na którym Bodo śpiewał i prowadził konferansjerkę. Wtedy, w szpitalu, nie poznał aktora. Bodo

nie dostawał paczek, prawie nic nie jadł, nikt z nim – cudzoziemcem, a więc szpionem – nie rozmawiał. Nawet nie wzywano go na przesłuchania. Prawie nie istniał. Autor „Dziennika więźnia” zapisał historię więźnia Bodo – „26 czerwca 1941 roku czołgi niemieckie podchodziły już pod Lwów. Przyszło do mnie dwóch, zaproponowali żebym się ubrał i pojechał z nimi. Byłem przekonany, że chcą mnie ocalić przed niemiecką okupacją. Pojechalśmy samochodem bez wytchnienia, żeby wydostać się z Zachodniej Ukrainy. Zatrzymaliśmy się dopiero wieczorem w jakimś dużym mieście. Zamknęli mnie w garażu siedziby NKWD. Rano zjawili się odmienieni nie do poznania – poprzedniego dnia uciekali jak zające, a teraz pewni siebie, butni przedstawiciele państwa radzieckiego. Zawieźli mnie do Moskwy, do Butyrek”. Potem skazany został na pięć lat „ciężkiego, wychowawczego obozu, jako element społecznie niebezpieczny. Spotkali się w Kotłasie, gdzie ów lekarz pisze dalej, że „mimo znacznego wyniszczenia, nietrudno było go zidentyfikować po rysach twarzy, zaroście i wyśmienicie zachowanym jak na te warunki uzębieniu.” Bodo zmarł w obozie w 1943 r., pewnie w tym samym płaszczu, z którym się nie rozstawał, a z którego podszewki zrobił ostatnia swoją makatkę i podarował Mirkowi. W kieszeni zaś tego płaszcza miał podpisany w 1939 r. kontrakt z Hollywood... trudno o większą ironię losu!

Jeszcze przed maturą dyrektorka szkoły wezwała matkę Ireny Krzywickiej do siebie i powiedziała, co następuje: „Irenka powinna pójść na scenę (!), bo to i prezencja i głos...” O Szkole Dramatycznej mówiono źle w owych czasach; że to trzeba spać ze wszystkimi, i że Irenka jako Żydówka nie ma szans. Udała się więc (ona sama) do znanej nam Solskiej, aby oceniła jej ewentualny talent. Ta zaś potwierdziła, że i prezencja i głos jest - „Ale moim obowiązkiem jest cię ostrzec. Czy wiesz, co pociąga za sobą wstąpienie na scenę? Przede wszystkim trzeba spać ze wszystkimi, bo nawet czasem podrzędny sufler czy maszynista może zrobić ci taki kawał, który przekreśli twoją dalszą karierę. Nie mówiąc już kolegach, reżyserze, czy dyrektorze teatru! Ja w dodatku byłam brzydka, więc jeszcze musiałam się starać o ich względy, ty jesteś ładna, więc w pewnym sensie będzie ci łatwiej...” (Solska w końcu została żoną dyrektora teatru, więc później miała spokój).

Wystraszyła jednak naszą Irenkę śmiertelnie. Nie poszła do Szkoły Dramatycznej, ale istniał przecież inny znany ośrodek teatralny... „Reduta”. I On. Wielki Osterwa. Jak pisze „mężczyzna niezwykłej piękności”. I jeszcze dodaje, że „nigdy takiego drugiego nie widziała, ani wówczas, ani potem”. Później, sporo później, kiedy Osterwa zafascynuje się Ordonką, jest już panem ze skłonnościami do tycia, ale jeszcze paniom głęboko w oczy zagląda i prawi komplementy wibrującym głosem. Nie oparła mu się Haneczka, bo zmacił jej głowę wielką karierą artystyczną i przyrzekł, że uczyni z niej wspaniałą aktorkę szekspirowską! Hanka w to uwie-

rzyła, Michał Tyszkiewicz, jej ówczesny mąż (bardzo zakochany) też poparł ten projekt. Chyba zupełnie niepotrzebnie. Czas zresztą pokaże...

Chociaż na tym wszystkim najwięcej stracił sam Osterwa będąc już przecież dobrze „w latach”, a także ojcem córki, która niebawem miała wyjść za mąż.

Znowu cofnijmy się w czasie.

Julian Andrzej Maluszek. Urodzony w 1885 r. w Krakowie. Syn woźnego w magistracie i akuszerki. Mężczyzna, który namieszał sporo w życiu kilku kobiet. W tym Haneczki... To nie kto inny tylko późniejszy „Boski Juliusz” – Juliusz Osterwa, głównie znany jako twórca „Reduty”.

Plotka (pewnie podsycana przez jego samego) niejasna i niesprawdzona, twierdzi, że był synem księcia (!). Pysnił się swoją urodą, ale bezsprzecznie trzeba dodać, że po prostu był uroczy, pełen osobistego czaru, o typie amanta – wzdychały do niego wszystkie pensjonarki i młode mężatki.

Głównie znany był jako założyciel „Reduty” – laboratorium artystycznego, które początkowo stanowiło filię Teatru Rozmaitości, a później, od 1921 r. zaczęło działać jako samodzielna placówka artystyczna, powiększona o Instytut Reduty. Była ona skrzyżowaniem teatru, komuny artystycznej, domu kultury i akademii umiejętności teatralnych. Grywano tam wyłącznie sztuki polskich pisarzy. Do „Reduty” Osterwa przyjmował „egzaltowaną młodzież”, stworzył coś w rodzaju bractwa świecko-teatralnego i w ten sposób, jako wielki przeor teatralnej sekty, zbudował sobie kapliczkę, w której zapatrzeni w Mistrza wielbiciele, zwłaszcza wielbicielki, składały mu bałwochwalczy hołd. Irenka Krzywicka, która do Szkoły Dramatycznej „nie poszła” zdecydowała się właśnie na „Redutę”. Wypowiada się o Osterwie entuzjastycznie, przynajmniej na początku. Pisze w swoich wspomnieniach: „Miał niezwykle bogatą skalę talentu, właściwie

mógł grać wszystko, wszyscy się nim zachwycali i podziwiali, był niezrównany w rolach romantycznych i jednocześnie świetnym aktorem komediowym. Tu nie było podzielonych zdań: umiał wyzwolić w każdym dużą siłę pół-poetyckiego, pół-erotycznego zachwycenia. Wszyscy marzyli o nim wyszedłszy z teatru...”

„Sale Redutowe były prześliczne, na próbach siedziało się w autentycznych fotelach Ludwik XVI obitych adamaszkiem, w salonach z widokiem na Plac Teatralny. Popijało się kawę i herbatę, analizowało sztuki zdanie po zdaniu...” Wszystko byłoby pięknie, gdyby... właśnie. Złym Duchem „Reduty” był zdaniem Ireny Mieczysław Limanowski, z zawodu geolog, „król mętniaków” – jak pisze Krzywicka. Miotał się, wymagał od aktorów „przeżywania” i ogólnie wprowadzał nerwową atmosferę. Dziwnym było, że taki artysta jak Osterwa zdawał się na takiego człowieka. Ależ w końcu, czyż historia nie zna takich przypadków? Poza tym Limanowski, mimo że syn wybitnego PPS-owca, zaszczerpił na pniu „Reduty” antysemitką gałązkę, dlatego też Juliusz między innymi odmówił pozwowania znanemu rzeźbiarzowi Kunie, który chciał zrobić jego portret gratis. Odmówił pozwania, bo „bał się, aby rzeźbiarz nie wycisnął swego żydowskiego piętna na jego słowiańskiej twarzy”!!! Z tego też właśnie powodu Irenie nigdy nie zaproponowano żadnej roli, ani nawet przesłuchania w „Reducie”...

„Dzielnie broniący czystości rasy Osterwa (na pewno za namową Limanowskiego) powiedział do Ewy Kuniny: „Jakże sobie wyobrażasz, że możemy pokazywać żydowską twarz na naszej scenie?” To całkowicie zniechęciło Irenę Krzywicką do „Reduty”. I nie tylko to. W pewnym okresie Limanowski zaczął ją nachodzić i usilnie odprowadzać do domu. Jeszcze chwila, a „trochę uległości z mojej strony i żydostwo przestałoby mu przeszkadzać”. To budziło obrzydzenie... „Gdyby to jeszcze był Osterwa – dodaje Irena, ale on nie, on bał się żony Wandy.”

Owa Wanda, która należała do zespołu zachowywała się wobec wszystkich „bezcelnie i bezwstydnie”. Była kobietą o „dość osobliwej i egzotycznej urodzie”. Nie tyle ładna, ile pełna tzw. sexappealu. Pomiała koleżankami, wybrzydzała na aktorów – nigdy zaś w obecności męża. Osterwa bał się jej najwyraźniej i wygląda na to, że była w tym związku osobą dominującą. „Jeśli Juliusz już kogoś kokietował, to raczej młodych chłopców – temu potargał włosy, tamtego pogłaskał po twarzy”. Nie wiadomo ile z tego było strachem przed żoną, a ile świadczyło o jego skłonnościach obojnackich. W tamtych czasach w stosunku do aktorek był zimny i obojętny...

Mimo ponownych prośb Ewy Kuniny i Marysi Żabczyńskiej o przesłuchanie Krzywickiej, nie przyniosło to rezultatu. Irena Krzywicka straciła serce do „Reduty”. I nie dlatego, że ją tam „boleśnie obrażono”, ale też „zrozumiałam, iż mimo aktorskich osiągnięć, nie jest to teatr przyszłości, że jego możliwości są nikłe i że raczej niczego więcej się tam nie nauczę”.

Bezstronnie trzeba przyznać, że „Reduta” nie miała powodzenia u warszawskiej publiczności, ona wolała oglądać Juliusza na deskach Teatru Narodowego. Ratując się od finansowej ruiny, Osterwa przytomnie usiłuje w późniejszych czasach zainteresować „Redutą” Ordonkę, która robiła właśnie dużą karierę, a także jej męża (w końcu hr. Tyszkiewicza). Oboje, jak już pisałam, ulegli jego urokowi... kiedy więc Hanka porzuca kabaret, a Osterwa przyrzeka uczynić ją największą aktorką szekspirowską, i wpada we własną pułkę. Warszawa aż huczy od plotek...

Osterwa był bezsprzecznie jednym z największych polskich artystów dramatycznych, wybitnym aktorem itd., ale... był też mistrzem uwodzenia, a także nie do końca człowiekiem honoru. O tym później...

Na razie usiłuje omotać oboje Tyszkiewiczów swoim urokiem i wizją przyszłej kariery Hanki jako artystki drama-

tycznej, czemu przyklaskuje mąż hrabia Tyszkiewicz – przecież zawsze to lepiej, kiedy żona porzuci kabaret, niechby najbardziej literacki, dla scen stołecznej Reduty i Krakowskiego Teatru Miejskiego – zawsze to jakoś brzmi... Myślę, że w tej sytuacji obu panów zawiódł zdrowy rozsądek i pokonała próżność.

Tak więc Osterwa przyrzeka Hance karierę, a ona prosi męża, żeby wziął w biurze półroczny urlop i pojechał z nią do Krakowa, gdzie będzie przygotowywać się do roli Violi w „Wieczorze trzech króli”. Tyszkiewicz odpowiada głupio, że nie może, ma pilne sprawy w biurze... Nie rozumie, albo nie chce rozumieć, że urokowi Osterwy nie oprze się żadna kobieta. Postępuje tak, chociaż zna teatralne życie i bywał za kulisami... pisywał przecież piosenki do Qui Pro Quo. Dziwne to i niepojęte. W końcu Hanka wyjeżdża do Krakowa sama i nie ma się co dziwić, że sprawy potoczyły się tak jak potoczyły...

Tmczasem Osterwa traci głowę dla „etrycznej pieśniarki o sentymentalnym uśmiechu”. Warszawa, jak pisałam, huczy od plotek, że Osterwa „opuścił Redutę Ordon, żeby zdobyć Redutę Ordonki” – zgrabne i całkowicie trafne.

O debiucie Hanka jako aktorki szekspirowskiej mało się mówi, ludzie walą do teatru, żeby zobaczyć tych dwoje jako parę kochanków, bo Kraków tak jak Warszawa nie stroni od plotek i bawi się tym doskonale. Hanka, pomijając wszystko inne, olśniewa w stylowych kostiumach i zachwyca smukłością sylwetki. Powodzenie kasowe olbrzymie! Osterwa przytomnie przewidywał, że „magnes nazwiska Ordonki i jej sugestywność estradowa ściągnie tłumy”. Biedaczek mimo całego zmysłu do interesu nie przewidział, że sugestywność Ordonki przemówi i do niego, aż do tego stopnia, że odbije się to na jego i tak starganych nerwach. Przywykł przecież do westchnień zaślepionych wielbicielek, a tutaj zetknął się z kobietą, która przecież zdobywała już laury. Owszem porwał ją, może nawet rozpałił coś więcej, ale przecież nie zgasił jej

indywidualności, nie potrafił nagiąć do swojego sposobu myślenia, co samo przez się doprowadzało go do rozstroju nerwowego. Trzeba pamiętać, że miał ku temu skłonności – po śmierci żony w 1929 roku popadł w depresję i leczył się w licznych sanatoriach. Także i teraz z córką Elżbietą również wyjechał, tym razem do Jugosławii – niby oficjalnym celem było nawiązanie kontaktów między teatrami Belgradu i Krakowa, ale wszem i wobec wiadomo było, że kołł nerwy po nieudanym romansie z Ordonką. Mimo porażki wysyłał do niej płomienne listy i prosił w nich o wzajemność – czyli o wyrażenie miłości do niego... Ordonka, dobra kobieta, mając dla Julka wiele uczucia nie odmawia mu tej „skromnej pociechy” nie wiedząc biedna, jak wiele będzie to ją kosztować! Starzejący się lowelas wykorzysta później te objawy współczucia z jej strony i to dość obrzydliwie!

Po wypoczynku za granicą wraca Juliusz do Krakowa, ale Haneczki nie zastaje, małe tego, dowiaduje się, że jego ukochana po krótkim pobycie w stolicy udaje się na występy do Wiednia, Berlina i Aten...

Mimo nienajlepszego w tej sytuacji nastroju zamierza zainscenizować „Księcia Niezłomnego”. Robi to z dużym sukcesem. Cóż mu po owacjach widowni, kiedy serce płacze? Okresowo wpada w tak silną apatię, że nieraz nawet podczas gry na scenie gotów jest uciec, gdzie oczy poniosą... A w garderobie popada w regularną histerię. Raz po raz chce porzucić pracę, pisze do córki: „moja choroba nie jest fizyczna, lecz raczej nerwowa na skutek wyczerpania...” We wrześniu 1933 r. Osterwa chce przedłużyć kontrakt z Hanką, ale ta nie wyraża zgody, obiecując tylko gościnne występy. Osterwa podejmuje jeszcze jedną próbę zwabienia ukochanej – mianowicie ofiaruje jej wielką rolę w sztuce Żuławskiego „Eros i Psyche”. Oczywiście ona Psyche, on – Eros. Powodzenie sztuki olbrzymie! I tym razem widownia pędzi głównie po to, żeby oglądać Ordonkę w objęciach Osterwy – podtatusiałego bożka miłości. Nikt nie zastanawia się ani nad

wartością sztuki, ani nad grą aktorów... Hance źle z tym i w sumie cieszy się, kiedy utwór schodzi z afisza. Wyjeżdża do Warszawy i tam dostaje ofertę nie do pogardzenia: główną rolę w filmie „Szpieg w masce” ze słynnym przebojem „Miłość ci wszystko wybaczy”. Juliuszek po jej wyjeździe dosłownie oszalał – wpada do stolicy wraca do Krakowa i pisze... pisze do Haneczki listy miłosne... ulegając jego prośbom litościwa Hanka „gotowa ukoić jego złamane serce” na kilka dni wyjeżdża z nim w Tatry! (I tu nie jestem w stanie pojąć postawy hr. Tyszkiewicza, tzw. Misiunia...) Osterwa na ten wyjazd bierze ze sobą egzemplarz sztuki Morstina „Rzeczpospolita poetów”. Gra tam oczywiście główną postać i jak pisze sam „W koszmarnym trudzie wbijają rolę w słabą pamięć.”

Sztuka robi klapę. Ale on nie poddaje się – głównie w walce o Ordonkę. Kiedy ta wraca po artystycznym turneé i wpada do Krakowa – Juliusz tak ją molestuje i tak nudzi, że w końcu zgadza się na spędzenie z nim urlopu na Huculszczyźnie, w Kosowie – gdzie jego kuracja ma na celu głodówkę i ćwiczenia mające na celu zrzucenie coś około pięciu kilogramów nadwagi oraz zmniejszenie wydatnego brzucha. Ich wspólne wakacje trwają ponad miesiąc. Po powrocie ona wyjeżdża na występy, on przygotowuje „Teorię Einsteina” Cwojdzińskiego, a potem namawia Ordonkę na rolę Burmistrzanki w „Ptaku” Szaniawskiego. I znowu publika wali tłumnie, niektórzy z lornetą polową w rękę, żeby zobaczyć, czy ci dwoje naprawdę „mocno” całują się w usta! Zaledwie utwór schodzi z afisza Hanka podąża do Warszawy do męża, którego kocha (!) Swojego Misia-Michasia. Przecież dla niej to on jest prawdziwym życiem, a nie przelotne romanse, które nie mają znaczenia. No i szykuje się niebywała impreza – dziesięciolecie pracy artystycznej na scenach polskich Jarosy’ego. Zaledwie pokazała się w stolicy, dościga ją Osterwa – pragnie zaoferować pracę w Reducie i dostaje szału na wiadomość, że po pierwsze odmawia, a po drugie zamierza

wystąpić w operetce, która zostanie wystawiona, o zgrozo, w Cyrku Braci Staniewskich na Ordynackiej! Ohyda! A on chciał z niej zrobić aktorkę szekspirowską! Wszelkie rozmowy kończą się kłótnią... mimo to Osterwa nie daje za wygraną. Żeby odciągnąć gwiazdę od tak poniżającego przedsięwzięcia zaprasza ją na gościnny występ w „Poskromieniu złośnicy”. Jest to zbyt silna pokusa i Hanka nie odmawia. Znowu zaczynają się plotki i żarty za kulisami, aktorzy tytuł sztuki przekręcają na „Nie-poskromienie miłośnicy”. Kiedy sztuka schodzi z afisza, Ordonka spieszy do stolicy na próby operetki.

Ot i koniec historii. Osterwa już wie, że nic z tego nie będzie. Nie zdobędzie dla siebie tej kobiety. Ostatnio między nimi wybuchało tyle sprzeczek i awantur z wyliczaniem wzajemnych pretensji, że Juliusz nie ma wątpliwości... Haneczka opuszcza go z niejaką ulgą – miała dosyć jego obsesji na temat Reduty i „manier przeora”...

Sam Julek rzuca się w wir zajęć, ale w głębi duszy ciężko przeżywa stratę ukochanej, jak mawiają w Warszawie „choruje na Ordonkę”. Wpada z tej rozpaczki na szatański pomysł – mianowicie usiłuje przekonać wiceprezydenta miasta, aby oddał mu gmach Teatru im. Bogusławskiego na siedzibę Reduty, bo jeszcze ma nadzieję, że duża scena i rozległa widownia skłonią Ordonkę do przyjęcia stanowiska pierwszej aktorki zespołu (ten to nie odpuszcza!) Nic z tego nie wychodzi, bo o ile jeszcze gmach mógłby dostać, to już Haneczki raczej nie... Wyczerpany nerwowo utarczkami wyżej wymieniony wraca do Krakowa, gdzie kładzie się na kilka dni do łóżka, a przyjaciółom rozpowiada, że przeżywa „jeden wielki okres zawodów i podejrzewa, że zgasła jego dobra gwiazda”. Może i tak. Ale jednak okazuje się, że jeszcze raz, podreperowawszy nadwątloną psychę podejmuje, tym razem naprawdę ostatni wysiłek – otóż najpierw kontaktuje się z filozofem i grafologiem Wincentym Lutosławskim, któremu daje do analizy list Ordonki. Ten po odpowiednim

zbadaniu pisma orzeka co następuje: „Sprawa jest beznadziejna dla Reduty i Osterwy również.” Obiecuje jednak modlić się w intencji jakiejś odmiany na lepsze w „tej sprawie”. Słaba to pociecha, ale cóż, tonący brzytwy się chwyta. Niech już chociaż modlitwa... Nie czekając na jej zbawienne skutki Osterwa szkicuje plan wielkiej podróży do Ameryki i przedstawia go Hance – ale zdaje się, że ona definitywnie zrezygnowała z leciwego amanta. Juliusz (znowu) załamuje się psychicznie i jedzie do Baden pod Wiedniem, do sanatorium. Czuje się źle i trudno się dziwić, bo na miłość bez wzajemności nie ma lekarstwa, nawet w wiedeńskich sanatoriach!

Wraca jednak do stolicy po kuracji, w jakim stanie nie wiadomo, ale postanawia zemścić się. Tyle że robi to w sposób brzydki i nie po męsku: wysyła listy miłosne Hanki do niego, jej mężowi Michałowi Tyszkiewiczowi... po czym szybko czmycha do Krakowa, widocznie w obawie, żeby nie oberwać od hrabiego po pysku.

Tymczasem w domu hrabiostwa rozgrywa się następująca scena – Michał oddaje plik listów żonie, a ta drze je i wrzuca do ognia...

„Cała Warszawa oburzona jest postępkami Osterwy. Juluś sam się wykreślił z grona dżentelmenów” – podsumował wydarzenie podobno tymi słowami malarz Stefan Norblin. „Nie przypuszczałem, że zdolny będzie do takiej podłości tylko dlatego, że Hanka go miała dosyć”. „Nie dosyć – oburza się na to Maria Modzelewska – jak kobieta rzuca chłopca, to nie dlatego, że ma go dosyć, ale dlatego, że ma go za mało...” (wg Szczublewskiego *Żywot Osterwy*).

Mija jakiś czas...

Cóż słysząc u Julka? Gra, cierpi i znowu gra, zawsze wokół niego kręcą się jakieś kobiety – ziemianki, aktorki, malarki, a w 1937 r. poznaje niejaką Matyldę Sapieżankę, młodszą o 20 lat... po oblężeniu Warszawy przenosi się do Krakowa, gdzie spędza okupację ucząc wymowy w seminariach duchownych. Po wojnie nadal występuje i reżyseruje,

otrzymuje też nominację na dyrektora Państwowej Wyższej Szkoły Dramatycznej. Można powiedzieć, że wiedzie mu się całkiem nieźle. Ostatni występ na scenie ma miejsce w 1947 roku w „Fantazym” w Teatrze im. Słowackiego...

Julian Andrzej Maluszek – syn woźnego z magistratu i akuszerki, urodzony w 1885 r., podobno miał być synem księcia, a był „złotym ptakiem sztuki polskiej”. Umarł na nowotwór żołądka. Jak każdy śmiertelnik – w głębokiej niezgodzie na cierpienie i ból...

Ścisk i tłok w naszym saloniku – przerobionym naprędce na garderobę dla modelek. Wojciech Bokłago de Bof uświetnił nasze czwartkowe spotkanie pokazem mody inspirowanej latami 20-tymi. Dziewczyny zdejmują suknie i woalki, w których każda wyglądała co najmniej jak Greta Garbo. Teraz przebierają się w podkoszulki i spodnie – cały urok znika... Całe szczęście, że pozostały zdjęcia!

Mam zawiedzioną minę, że to już, że tak szybko – ale dziewczyny się spieszą do innych spraw, do zupełnie innego świata. Wojtek widząc mój żal proponuje, żebym na chwilę włożyła jakąś kreację... na chwilę staję się kimś innym, przestaczam się w wampa, *famme fatale*... wchodzę do saloniku, gdzie siedzą już wszyscy uczestnicy wieczoru. Na chwilę powraca atmosfera tamtych lat – kobieta z woalką na twarzy, powiew tajemnicy...

A dużo później zajadamy się ciasteczkami a la Ritz. My możemy – robię oko do Joli. Ona wie, o co chodzi bez słów (Juliusz Osterwa musiał uważać, miał kłopoty z nadwagą).

Teatrzyk w Galerii Luksemburg przeżywał swoje najlepsze chwile. Oprócz tańca, humoru, ogólnej wesołości, wkroczyła tam satyra polityczna. Akurat nadarzyła się ku temu świetna okazja: przed kilkoma miesiącami min. Grabski przeprowadził reformę monetarną i zamiast bezwartościowej marki wprowadził złoty polski oparty na „zdrowych podstawach finansowych”. Wprowadzenie nowej waluty stanowiło przewrót ekonomiczny! Grabski miał wielu przeciwników; nie wiadomo było, czy jego gabinet długo się utrzyma. Qui Pro Quo trzymając rękę na pulsie występuje ze śmiałym programem „Precz z Grabskim”. „Dziwne jest, że przy takich nastrojach wystawienie widowiska pod antyrządowym, niemal rewolucyjnym zawołaniem nie wzbrania żaden cenzor, tekstów się nie konfiskuje, a teatrzyku nie zamyka” – pisze T. Wittlin w swojej książce. Wręcz przeciwnie. Żeby sprawiedliwości stało się zadość trzeba dodać, że program był poświęcony nie tylko owemu ministrowi, ale zawierał moc innych żartów i pomysłowych numerów. Między innymi Ordonka wykonała parodię smętnych ballad, których od pewnego czasu można było posłuchać w teatrze przy Karowej. A wykonawcą ich był niejaki Aleksander Wertyński, emigrant rosyjski, który zjechał do Warszawy po artystycznych triumfach w Paryżu...

Wertyński... dzisiaj byłby śmieszny ze swoją upudrowaną twarzą w kostiumie pierrota i złożonymi jak do modlitwy dłońmi... wówczas jednak zrobił z dnia na dzień oszałamiającą karierę.

Można by zapytać, jak to możliwe, że ten, jak sam się określał, wychowanek ulicy, wagarowicz, a później stały

bywalec kijowskich melin, najlepszy przyjaciel i powiernik prostytutek i kokainistów stał się nagle znany i wręcz uwielbiany. Już tak jest, że raz na jakiś czas zjawia się ktoś, kto znajduje się dokładnie w miejscu, w którym powinien być. Tak zdarzyło się Wertyńskiemu. Trafił swoim repertuarem bezbłędnie w mieszczańskie gusta owych lat. Zadebiutował w Moskwie w 1915 r. jako 26-latek i od razu sukces!...

Istniała w Moskwie taka knajpa, którą nazywano „Pod bezpieczeństwa psem” – mało apetyczna nazwa, ale któż w niej nie bywał! Zachodził do niej, niezwykle modny i popularny zwiastun nadchodzącej rewolucji Włodzimierz Majakowski. Czytał swoje wiersze, w których potrafił zwymyślać „grzęznących w błogim spokoju burżujów”, a oni, przedstawiciele ginącego świata nucili pod nosem wiersze Siewierianina do muzyki Wertyńskiego właśnie. Czytając o tamtych czasach odniosłam wrażenie, że nikt nikomu nie wchodził zbyt w drogę, a wręcz surowy Majakowski wyrażał się z głębokim uznaniem o twórczości Wertyńskiego. I tak, kiedy jeden sławił walczących i ginących marynarzy i robotników – drugi, jeśli akurat nie śpiewał o miłości, to płakał nad losem kadetów i w ogóle białogwardzistów broniących starego ustroju.

Wertyński lubił Polaków, sam miał zresztą polskie korzenie – ojciec Wierciński nie zapisał się zresztą dobrze w jego pamięci, bowiem mało, że nigdy się z matką – Eugenią Skołącką nie ożenił, to jeszcze porzucił rodzinę, kiedy Aleksander miał zaledwie trzy latka. W swoich pamiętnikach pisze: „Koncertowałem w całej Polsce, nie tylko w wielkich miastach, ale i na kresach, wszędzie witano mnie gorąco i z zachwytem. Miałem powodzenie, a kiedy napisałem swoją słynną „Panią Irenę”, uznano mnie ostatecznie. Najznakomitsi polscy artyści przychodzili do mnie za kulisy, literaci polscy przyjęli mnie do swego grona, a ja często w „Ziemiańskiej” recytowałem im wiersze Błoka i Achmatowej.”

Tak było w wielkich miastach, ale nie w Białymstoku, do którego zawitał Aleksander W. Jakże nieprzyjemnie jakiś krytyk potraktował legendę rosyjskiego romansu! Można było otworzyć „Prożektor” i przeczytać co następuje: „Twórczość ta jest to specyficzny niezdrowy produkt rosyjskiego dekadensu, który doprowadził społeczeństwo rosyjskie do zupełnego rozkładu i opanowaniu przez Chama Czerwonego... Ten „znakomity” artysta grasuje po całej Polsce i uprawia publicznie ze sceny propagandę kokainomanii odśpiewując swoje utwory, których głównym motorem są rozmaite zbrodnie seksualne i narkomania. Czwartkowy koncert pana Wertyńskiego odbył się przy przepelnionej sali (musiał stwierdzić z bólem recenzent). Na scenie stał blady jak śmierć, z przeczulonymi wskutek czegoś nerwami artysta i słabiuteńkim głosem odśpiewał swoje piosenki kokainowokalne. Białostockie zaś kokainistki, nimfomanki, sadystki oraz adeptki miłości lesbijskiej podniecone jego produkcjami niezdrowego rozczulenia biły brawo i ryczały z zachwytu. Owacje to był istny sabat białostockich degeneratów, poczynając od podlotków aż do przejrzałych matron.” Zaiście smakowite zakończenie!

Nie wiadomo, czy adresat czytał ową recenzję, czy nie... wiadomo tylko, że zaraz po koncercie – blady, poważny w cylindrze, czarnej pelerynie na białej jedwabnej podszewce (szczyt elegancji) z białym szalem przerzuconym przez plecy wyszedł powoli, otoczony swiłą złożoną z dam w wieczorowych sukniach. Wsiadł do samochodu i odjechał... a damy – w dwóch, czy trzech autach pomknęły za nim. Dokąd? – nie wiadomo, o tym już krytyk nie napisał.

W końcu i jego dopadła Miłość, o której z takim uczuciem śpiewał... że będzie tragiczna – z góry wiadomo. Początek niezwykle romantyczny. Ona – piękna bogini ekranu i On – znany w całym kraju pieśniarz. Ona była zamężna, ale nikomu to nie przeszkadzało. Pewnego razu – tak zaczynają się wszystkie bajki – ona, sławna aktorka, przyszła za kulisy

teatrzyku „Sinaja Ptica”, w którym śpiewał Wertyński, chciała mu pogratulować występu. No i stało się. Zaiskrzyło, zatrzepotało serce – głównie jednak Aleksandra. Wielka miłość Smutnego Pierotta niezupełnie była ze strony Wiery odwzajemniona. Owszem, lubiła bardzo zakochanego w niej do szaleństwa pieśniarza, ale są przesłanki, że nie traktowała tego uczucia tak poważnie jak on. Wertyński cierpiał. A im więcej cierpiał, tym piękniej o tym cierpieniu śpiewał. Wszystkie utwory dedykował pięknej aktorce...

Wiera, oprócz męża, Aleksandra, posiadała jeszcze bogatego przyjaciela – powiedzmy tajemniczo – barona F. Tenże postanowił sfinansować jej następny film grany w atelier paryskim. A więc wyjazd do Paryża! Spakowana w ogromną ilość waliz i żegnana przez tłumy wielbicieli, znika jak złoty sen, ale zostawia Wertyńskiemu na pociechę papugę imieniem Flobert. Ohydne ptaszysko umie wypowiedzieć tylko jedno słowo i to w dodatku po francusku (jako, że ten język króluje w wytwornych kołach Moskwy) – „Jamais” – „nigdy”. Skrzeczała więc całymi dniami, jak gdyby prorokując, że pieśniarz nigdy nie zobaczy swojej ukochanej... no i wyskrzeczwała! W 1919 r. aktorka umiera w pełni sławy i urody na hiszpankę... Zrozpaczony Aleksander pisze piosenkę „Dym kadzideł wokół snuje się”, w której wybacza Wierze wszystko, co przez nią wycierpiał, przebacza, że go porzuciła. To wydarzenie przyspiesza jego decyzję o wyjeździe. Co stało się z Flobertem – nie wiadomo. Na statku „Wielki Książę Aleksander Michajłowicz” – Wertyński był sam.

Jego emigracja (chyba nawet tego nie przypuszczał) trwała 24 lata. Paryż, Ameryka, Szanghaj...

W Paryżu pełnym emigrantów z Rosji, gdzie każdy z nich był co najmniej księciem, a już obowiązkowo posiadał rozległe dobra na Ukrainie (a obecnie byli taksówkarzami, fordanserami, portierami w nocnych klubach) – udało się wywołać „modę na Rosję”, ale powodem owej mody nie byli

oni sami, tylko wielcy artyści rosyjscy, którzy w Paryżu mieszkali – Szalapin, tancerze „Baletów Monte Carlo”, wielu znanych kompozytorów, wreszcie i nasz Aleksander, który podbił publiczność paryską. Trzeba powiedzieć, że zachwycał pod każdą szerokością geograficzną. Umiał bowiem utrafić bezbłędnie w nastroje kobiet, a w każdym zakątku świata jest mnóstwo dam nieszczęśliwie zakochanych, porzuconych, czy cierpiących z powodu miłości nieodwzajemnionej... delikatny, szczupły Pierrot i jego śpiew to był „swoisty teatr wzruszeń”.

Sukces za sukcesem, sława, niezła sytuacja finansowa... ale Wertyńskiego na obczyźnie gnębi straszna nostalgia, chociaż, jak sam przyznaje „nikt go z nikąd nie wyganiał”. Ma poczucie, że porzucając Rosję popełnił „straszny błąd”. Stara się więc uzyskać pozwolenie na powrót, ale młoda władza radziecka nie kwapi się z zaproszeniem – dla nich jest uciekinierem.

Dopiero po latach i licznych, ponawianych prośbach otrzymuje zezwolenie na powrót. W tym czasie mieszka w Szanghaju – jest sławny i nieszczęśliwy, właśnie niedawno rozpadło się jego małżeństwo z Seliną Tyczyńską – byli ze sobą zaledwie rok. Wertyński chce usilnie stworzyć rodzinę – żeni się więc powtórnie, tym razem z 19-letnią urzędniczką, Lidią Cirgwawe, córką oficera. Tym razem układa się lepiej, na świat przychodzą córki Marianna i Anastazja (obie później znane aktorki).

Kiedy więc otrzymuje upragnioną zgodę na powrót do kraju, świat stoi już na progu nowej epoki. Jest rok 1943. ZSRR odpiera najazd hitlerowski, panuje nędza i głód, ale o dziwo, publiczność, przed którą staje twarzą w twarz, przyjmuje go życzliwie. Potrafi docenić w nim poetę i słucha z zainteresowaniem... na brak pracy zatem Wertyński nie narzeka. Zaczyna od występów na froncie, po drodze są fabryki, małe miasteczka. Plan koncertów jest według tzw. rozdzielnika, zatem latem jechał do Samarkandy, zimą na Sa-

chalin... A przecież Pierrot był delikatny i szczupły, powoli tracił więc siły.

W 1957 r. zmarł nagle w garderobie na kilka minut przed występem.

Koniec wieczoru poświęconemu Smutnemu Pierrotowi uświetnił recital Luby Nazarenko z Wilna... w przytulnym saloniku na tyłach Muzeum Historycznego spotkanie toczy się dalej, jak życie – ktoś opowiada najnowszą plotkę, Jola przekonuje Daniela, że Białystok, jak Paryż, też był pełen emigrantów rosyjskich, dodatkowo szpiegów i szmuglerów, że tutaj też nosiło się kostiumy Chanel. „I fryzury paryskiego mistrza o polskim nazwisku Cierplikowski” – wtrąca Wojtek Bokłago (mój ulubiony projektant).

No tak, można powiedzieć barwnie się żyło w naszym mieście i wcale nie gorzej niż gdzie indziej – jakieś bale półświatka, tajemnicza Czarna Dama, strajki lekarzy kasy chorych (!), zamknięcie domów publicznych. „Panienki przeniosły się na ul. Wesołą – informuje Daniel – a te z wyższej klasy na Krakowską.”

Jola jeszcze dopowiada pikantne szczegóły z tej historii o generale, który z zazdrości zabił swoją kochankę Marię – dentystkę i tego trzeciego...

Czas płynie nieubłaganie, trzeba pogasić światła...

Andrzej Koziara napisze później w swoim felietonie – „Wieczór z Wertyńskim w Kamienicy Samuela Citrona, według własnego scenariusza, poprowadziły dwie panie, z których każda miała coś z Madam Irene” (to o mnie i o Joli). A potem jeszcze, jak to Daniel zgorszył co niektóre starsze panie opowiadając „ze znajomością rzeczy i bezstronnością historyka o burdelach, których tu swego czasu było więcej niż stacjonujących wojsk”.

„W sumie było tak – pisze na zakończenie autor felietonu – że nawet ludzie, których normalnie do muzeum nawet wołami nie zaciągniesz, pytają kiedy następny wieczór?”

PIĘKNY BOLEK...

Jest 1920 r. Na kresach bolszewickie pułki walczą z wojskami Naczelnego Wodza Piłsudskiego. W Warszawie śmiech zamiera. Trudno w tej sytuacji o dobry humor. Każdy martwi się o najbliższych walczących na froncie, o rannych w szpitalach i o zabitych na polu bitwy. Wreszcie Piłsudski na czele wojsk wkracza do Kijowa, ale wojna nie kończy się – Budionny z nieprzeliczoną hordą swoich wojsk, w spiczastych czapkach z naszytą czerwoną gwiazdą, ciągnie na Zamość. W „odwecie” warszawscy aktorzy z naprędce skleconą rewią, aby dodać humoru swoim wojskom właśnie tam pędzą... Ordonka jest w zespole. Sala wypełniona po brzegi, o dziwo, Hanka i jej występ w żołnierskim mundurze i rogatywce, staje się gwoździem programu. Ma zaledwie osiemnaście lat. Po przedstawieniu piszą o niej: „to piękność skończona i artystka, która swe piosenki odtwarza z nieopisanym czarem”. Głowę dla niej traci podobno dowódca Brygady Piechoty.

Wojna trwa. Wróg podchodzi pod Warszawę i zajmuje Radzymin. Naczelnik Piłsudski osobiście obejmuje dowództwo nad obroną miasta. Bitwa o Warszawę pod wodzą Komendanta kończy się zwycięstwem. W stolicy znowu słychać beztroski śmiech. Teatryki satyryczne – Miraż i Qui Pro Quo prześcigają się w pomysłowych programach. Kraj oddycha wolnością, a na każdej premierze w łoży zasiada słynny szwoleżer, pułkownik Wieniawa-Długoszowski. „Och, Bolek” – wzdycha niejedna! Jakież on piękny... Zwany pierwszym ułanem Rzeczypospolitej był generałem brygady i adiutantem Józefa Piłsudskiego. Minister Beck napisał w swoich wspomnieniach: „O Wieniawie-Długoszowskim

powinni pisać prawdziwi ułani i artyści!” Był w swoich czasach najpopularniejszą osobą w mieście, jedni mówili o nim – człowiek renesansu, inni uważali za ówczesnego playboya znanego z „alkoholicznych fantazji i występów erotycznych”. Jak to mówią „wady ludzi wielkich są pociechą głupców”... Dajmy im zatem jeszcze jedną szansę i wróćmy do korzeni...

Jest połowa rządów miłościwie panującego Franciszka Józefa I – Maksymówka, niewielki majątek – 283 mieszkańców. Ojciec – Bolesław Długoszowski inżynier i matka Józefa ze Struszkiewiczów Długoszowska. Ojciec był specjalistą od budowy kolei, ze strony matki miał krew węgierską – podobno babka z upodobaniem jeździła konno z „fajką w zębach” (stąd pewnie u Wieniawy to genetyczne upodobanie do wjeżdżania na koniu do restauracji). Nasz bohater kończył gimnazjum we Lwowie, a nawet można powiedzieć kilka, bo wylewano go z każdego (miał duży temperament, cokolwiek miałyby to znaczyć). Po tych perypetiach podjął studia medyczne i ukończył je celująco, a jako specjalizację wybiera okulistykę. Po stażu u prof. Callota w Paryżu zrywa z medycyną. W 1906 r. (pije wówczas tylko wodę z sokiem) żeni się z córką rektora Uniwersytetu, Stefanią Calvas. Studiuje przez rok w Berlinie w Akademii Sztuk Pięknych, później wyjeżdża do Paryża. Kiedy w 1918 r. rozwodzi się ze Stefanią (o której mało wiemy) jest już pod silnym wpływem cyganterii, Piłsudskiego i pewnej adwokatowej. Tymczasem Stefania, chwilowo nieutulona w żalu, niebawem wychodzi za mąż za znanego ułana Stanisława Grzmota-Skotnickiego. Ale nie sprzedajmy faktów...

Dziwnym jest, że postrzegany później jako osoba posiadająca „magnetyzm, wdzięk, humor, energię i głód życia, tenże sam Bolek, wyjeżdżając do Paryża w czasie tzw. „nocnej rozmowy” z Micińskim, obiecuje mu, że „samobójstwa nie popełni”. Dziwne to, jak na szczęśliwego męża i osobę, która ukończyła studia z wyróżnieniem. Po-

średnio, ale tylko pośrednio przyczyną miała tu być w tzw. szerokim pojęciu "przybyszewszczyzna". Gdzieś tam w papierach odnotowano, że był osobnikiem o „niewielkiej odporności psychicznej z predyspozycją do samobójstwa...”

Na razie 26-letni Wieniawa zachłystuje się Paryżem. Przez lata poznaje języki i ludzi. Między innymi Erenburga, Pola Valery, Trockiego, Andre Gide'a i robi to z wewnętrznej potrzeby, a nie ze snobizmu. Wygląda w owych czasach niezwykle malowniczo: długie włosy, czarna peleryna, kapełusz i efektowny fontaż pod szyją. Pisze sztuki teatralne i powieść w odcinkach „Zbrodnia” wespół z Bronisławą Ostrowską. Robi również przekłady Sienkiewicza dla wydawcy francuskiego oraz jest korespondentem lwowskiej Gazety Współczesnej.

W pracowni jednego z przyjaciół-malarzy poznaje Piłsudskiego, naówczas przechodzącego ze struktur konspiracyjnych do legalnych. Tworzą się Związki Strzeleckie grupujące młodzież szkolną, robotniczą i studentów. Piłsudski odbywa właśnie podróż inspekcyjną, nawołując do polskich kadr wojskowych, wygłasza też odczyty. Wieniawa, zafascynowany jego osobą przeobraża się w piłsudczyka, ulegając sile wywodów Marszałka oraz emanującym z „jego postaci fluidom”. „Czuję się żołnierzem, znalazłem wodza” – mówi.

Wszystkie dalsze wydarzenia toczą się bardzo szybko – w kraju tworzy się Pierwsza Kompania Kadrowa będąca załącznikiem przyszłego Wojska Polskiego. Wieniawa wraca do kraju i po roku zostaje adiutantem Piłsudskiego oraz jego najbardziej zaufanym człowiekiem. Przechodzi kurs szkolenia oficerów sztabowych i oddelegowany zostaje do Ostrołęki. Niestety wcielenie do armii austriackiej komplikuje mu życiorys – ale będąc wykształcenia medycznego poucza żołnierzy jak udawać chorobę... szpital staje się schroniskiem dla legionistów. W 1918 r. dezerceruje z wojska i ucieka na Ukrainę. Pod nazwiskiem Mianowski ma się przedostać do Hallera, ale pech chce, że tenże wcześniej wyjechał, szuka

więc kontaktu z misją francuską i spotyka na swojej drodze Bronisławę Klaczkę (znajomą z Paryża), obecnie Berenson, żonę znanego adwokata. Wcześniej za sobą nie przepadali. Jak się to życie toczy przedziwnie i zaskakująco...

Wieniawa zostaje aresztowany i przewieziony na słynną Łubiankę – udaje tam Francuza, bo świetnie zna język, wie, że przyjaciele zrobią wszystko, żeby go uwolnić. Powstaje tymczasem plotka o jego rozstrzelaniu, nawet w Krakowie ktoś zamawia mszę za jego duszę... Berensonowa odwiedza go w więzieniu. Widać, że jest zainteresowana. Niektórzy szepczą po cichu, że jest agentką Cz.K... Wieniawę w końcu zwalniamy. Wraca więc do Polski, żeby pełnić służbę przy boku Piłsudskiego w randze rotmistrza do 1921 r. Z Wodzem łączą go stosunki towarzyskie i ogromna (wzajemna zresztą) fascynacja. Dzieli ich 14 lat, to niewielka różnica wieku. Jest świadkiem na jego ślubie z Aleksandrą Szczerbińską i wraz z Sosnkowskim, świadkiem przejścia na katolicyzm. Piłsudski dla odmiany trzymał dziecko Wieniawy do chrztu...

W 1919 r. rozwodzi się ze Stefanią i bierze ślub z Berensonową, która też w międzyczasie rozstała się ze swoim adwokatem. Lechoń pisze we wspomnieniach, że była „pierwszą, która w tak krótkiej sukni brała ślub”. W 1921 r. Wieniawa wyjeżdża jako attache wojskowy do Bukaresztu.

Wiele mówiło się o nim w owym czasie, a to, że nie dojechał na uroczystości pogrzebowe zabitego przez chorwackich terrorystów jugosłowiańskiego króla Aleksandra I – podobno upił się po drodze..., a to opisywano jakiegoś afery z kobietami, jednym słowem Piłsudski postanawia położyć temu kres, wzywa go do kraju i mianuje Komendantem Miasta. Głównie ma to na celu odciągnięcie przyjaciela od alkoholu. Niektórzy mówią, że jest to „włożenie miecza do ręki szalonemu”, ale staje się cud!! Wieniawa przestaje pić z dnia na dzień... Opatentowanie tego cudu i wcielenie go w życie miałyby dobroczynne skutki, jeśli chodzi o niektórych

współczesnych polityków... ale cóż. Widać Wieniawa bardzo kochał Polskę niż alkohol. Piłsudski zaczyna mieć kłopoty ze zdrowiem. Najpierw jest to lekki paraliż w 1928 r., który jest prawdopodobnie skutkiem innej, groźnej choroby – raka wątroby, na którą w 1935 r. Wódz umiera...

Siłą rzeczy, Wieniawa zostaje odsunięty na tzw. dalszy plan, co niektórzy czynią z niezwykłą przyjemnością... Wiadomo było, że Piłsudski stanowił w ostatnich czasach jego „parasol ochronny”. I tu następuje załamanie... kolejna runda picia. Na szczęście – krótka. Co zrobić z niewygodnym, ale zasłużonym człowiekiem – wysłać go na placówkę! I tak, dobiegający sześćdziesiątki Wieniawa zostaje wysłany jako ambasador do Włoch. Przystaje pić radykalnie.

Postrzegany tam jest pozytywnie. „Szczery człowiek, może nieco zbyt swobodny”, ale w końcu któż nie jest pozbawiony wad? Jak wielka była jego legenda może świadczyć fakt, że był bliski objęcia godności Prezydenta RP – był za tym i Sosnkowski i Paderewski – dostał nawet nominację. Tylko Sikorski ubolewał nad jego alkoholizmem, a także zarzucał mu, że sabotuje jego (Sikorskiego) politykę. Dziwne to jest, bo przecież nie kto inny, tylko Wieniawa pomagał jego żonie, którą ścigało Gestapo...

Kiedy w 1940 r. Włochy wypowiedają wojnę Anglii i Francji nasz bohater wyjeżdża do Lizbony, tam dościga go depesza od Sikorskiego, że jest zwolniony ze służby dyplomatycznej.

Zaczyna się najcięższy okres w jego życiu. Po przybyciu do Nowego Jorku, mając wizę tranzytową – nie może podjąć pracy, zatrudnia się nielegalnie w redakcji Dziennika Polskiego jako korektor i czasem redaktor. Uczy się introligatorstwa artystycznego, miewa odczyty w kołach dawnej emigracji, ale to wszystko nie zaspokaja jego ambicji, z dnia na dzień czuje się gorzej... nawet to, że zostaje mianowany posłem Rządu Emigracyjnego na Kubie, nie jest w stanie prze-

łamać depresji – piłsudczycy uważali go za zdrajcę, a Sikorski nigdy nie uznał za „swojego”...

W przeddzień wyjazdu na Kubę popełnia samobójstwo – chce umrzeć jako ambasador – żeby zapewnić rodzinie środki do życia.

„Wady ludzi wielkich są pociechą głupców” powtarzam przytoczoną już wcześniej maksymę. W końcu ludzi małych i głupich nie brakuje. Takich jak Wieniawa było i jest niewiele, takich pięknych, uzdolnionych, z taką fantazją i klasą... suche fakty z życiorysu nie oddają przecież w pełni tego zjawiska jakim był „Piękny Bolek”. W tamtych czasach cała Warszawa pozostawało w polu magnetycznym jego wdzięku, polotu, energii i głodu życia. Tylko jego obecność gwarantowała doskonałą zabawę, ludzie go uwielbiali i to nie tylko przyjaciele, ale i ci zwykli spotkani na ulicy. Prawdą jest, że alkohol był istotnym czynnikiem kształtującym jego biografię, ale też, przytaczam za Słonimskim: „To, że lubił wypić nie czyniło go pijakiem”. Zresztą w tamtych czasach nikt za bardzo za kołnierza nie wylewał! Śmiało można powiedzieć, że Wieniawa stał się legendą za życia i to nie z powodu stałej trasy Adria-Ziemiańska-Europejska, gdzie do tej pierwszej potrafił wjechać na koniu! (opozycja Piłsudskiego i pseudohistorycy lat powojennych ze szczególnym smakiem opisywali ten fakt, jako wybitny wyraz zgnilizny systemu sanacyjnego), jak również nie z powodu „alcoholicznych fantazji i podbojów erotycznych”. Był z Bolka kawał literata, o czym bez zawiści mówili jego przyjaciele i znajomi – i to nie byle kto, bo Tuwim, Słonimski, Lechoń. Pomijam fakt pisania zupełnie dobrych wierszy dla aktualnych wybranek, był autorem przekładu „Kwiatów zła”, wraz z Ferdynandem Goethem napisał scenariusz do filmu „Ułani, Ułani”, konsultantem w filmie „Śluby ułańskie”, współautorem „Jazdy polskiej”, a sam bohaterem wielu utworów, głównie skamandrytów i głównie złośliwych, o co nie obra-

żał się nigdy. Nawet kiedy w Morskim Oku, w rewii „Cała Warszawa” nazwano go płk. Wlejniawą...

W Ziemiańskiej, na półpiętrze, Czermański uwiecznił jego profil jeszcze za życia – a przecież bywało tam wielu znamienitych. Nikogo jednak nie kochano tak bardzo jak jego, najpopularniejszej postaci w Warszawie – pięknego Bolka.

Umilkły echa tanga „Ta ostatnia niedziela”, muzycy z zespołu „Trio Tabasco” pakują instrumenty. Dawno już odjechali żołnierze z zaprzyjaźnionej jednostki wojskowej, którzy kilkakrotnie musieli bisować pieśń „My, pierwsza brygada...” Ktoś zamknął drzwi za ostatnim gościem. Zrobiło się bardzo cicho... A ja wyraźnie słyszałam brzęk filiżanek, zapach kawy i wanilii, i szept, który elektryzował wszystkich „...spójrzcie, Wieniawa przyszedł...”



Bibliografia

- Czajka Stachowicz Izabela, *Moja wielka miłość*
Groński Ryszard Marek, *Proca Dawida*
Krzywicka Irena, *Wyznania gorszycielki*
Kydryński J., *Smutny Pierrot*
Madsen Alex, *Coco Chanel*
Magdalena, córka Kossaka – zebrane wspomnienia
Pasquier Jacqueline, *Przewodnik elegancji*
Samozwaniec Magdalena, *Maria i Magdalena*
Samozwaniec Magdalena, *Zalotnica niebieska*
Szczublewski, *Żywoł Osterwy*
Wittlin Tadeusz, *Pieśniarka Warszawy*

Wykorzystano również fragmenty artykułów
red. Andrzeja Koziary – za osobistą zgodą autora

Jakże ważne dla historii grodu nad Białką są literackie rekonstrukcje okresu międzywojennego, powstałe pod czułym piórem Anny Gniewkowskiej, pisarki i lekarza. W pamięci wciąż tkwi jak drzazga, opis uczyniony piórem wybitnej pisarki Marii Dąbrowskiej, o mieście cuchnącym i niczym nie ujmującym podróżujących przez to miasto. Stąd opisy uczynione przez Annę Gniewkowską, dotyczące okresu międzywojennego, postaci, które zastygły w podręcznikach historii, na kartach literackich wędrówek a teraz odzyskują należny im koloryt. Rauty, hotele, spotkania towarzyskie pozwalają niejako zajrzeć w epokę, która odeszła w przeszłość, rozdzielona wojnami, przyjęła na długie lata „piętno sanacyjnej degrengolady”.

Pisarstwo Anny Gniewkowskiej pozwala oczyścić zniekształcony obraz „tamtych lat”, odzyskać „pamięć i trwanie”.

A miasto Białystok, dzięki anegdotom, wspomnieniom i prasowym relacjom, mówi o ówczesnych dyktatorach mody, pisarzach, filmowcach. Wielu z nich odwiedziło nasze miasto i zapewne atmosfera nie pozostawiła w nich dotkliwych w swojej wymowie, wspomnień. Miasto nad Białką żyło atmosferą tamtych dni, kierując swój wzrok w stronę Warszawy i Wilna, skąd dochodziła wielkomięjska wrzawa.

Książka doktor Anny Gniewkowskiej, znakomita w odtwarzaniu atmosfery międzywojennej Rzeczypospolitej, rzetelna w diagnozie, pozwala uleczyć nasze „niegdysiejsze?” kompleksy.

fragment recenzji

Jan Leończuk



fot. Włodek Liszka



fol. Marcin Zdanowicz



fot. Marcin Zdanowicz



fot. Marcin Zdanowicz



foto. Włodek Liszka



fot. Mariusz Łucejko



fot. Mariusz Łucejko



fot. Adrian Horba



Gniewkowska
Wielkie

Anna Gniewkowska – urodzona w Białymstoku, z zawodu laryngolog, debiutowała w 1995 r. tomem prozy „Szary odcień bieli”. W 1997 r. ukazał się kolejny tom „Posmak czasu”, zaś w 1997 r. „Dotyk motyla”. Wydany przez Książnicę Podlaską zbiór opowiadań „Epizody” nominowany był do nagrody im. Kazaneckiego. Opowieść o latach międzywojennych jest ostatnią pozycją w dorobku autorki.



ISBN 978-83-60368-24-4